Nr. 30. Poznań, Niedziela 22-go Lipca 1900 r. Rok IV.



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie 1 markę; na poczcie w Austro-Węgrzech 59 cent. Pod opaską: w Niemczech 1,65 mr., w Austro-Węgrzech 1 złr., za Oceanem 1 dolar.

Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 295.

Manuskryptów nie zwraca się.

W setną rocznicę.

Niedawno temu mieli Niemcy prawo obchodzić stuletnią rocznicę szczególniejszego rodzaju. Właśnie osiemnasty wiek dobiegał kresu, tak jak dziś dobiega wiek dziewiętnasty, gdy Francya, po przebyciu rewolucyi, zapragnęła całemu światu narzucić hasła „równości, wolności i braterstwa“, jako znak swego panowania nad duchami. W Niemczech, podzielonych na drobne księstewka, panował absolutyzm, posunięty do krańcowości. Pomiędzy republikańskiemi zasadami Francyi a konserwatyzmem niemieckim istniał przedział, który doprowadzić musiał i doprowadził też do orężnego rozwiązania. Stosunki pomiędzy Niemcami a Francyą były tak naprężone, że kilkakrotnie publiczne manifestacye urządzano w Niemczech przeciw posłom francuskim, reprezentantom republikańskiej Francyi. Wreszcie, gdy posłowie, nie mogąc doprowadzić dyplomatycznych rokowań do pożądanego skutku, oznajmili, że uważają swą misyę za skończoną — rząd im wręczył paszporty.

Posłowie francuscy, wraz z całym personałem ambasady, opuścili Rastadt, gdzie do ostatniej chwili przebywali. Opuszczali niegościnne miasto niemieckie w przekonaniu, że ich, jakkolwiek wrogów, broni od wszelkich napaści ich nietykalność poselska, którą dzikie narody nawet szanują.

Lecz omylili się niestety. Zaledwie bowiem opuścili Rastadt, gdy tentent galopujących koni dał się słyszeć za kolasami, w których się znajdowali ambasadorowie. Po chwili odezwała się groźna komenda: *Stój!* woźnica przerażony wypuścił cugle z ręki, a karety Francuzów otoczył z dobytemi szablami oddział szeklerskiego pułku huzarów. Jeden z ambasadorów wychylił głowę z karety, aby zobaczyć przyczynę hałasów. Oficer huzarów wyjął z za pasa pistolet, wypalił z odległości paru kroków na posła i głowę mu roztrzaskał, tak że mózg obryzgał karetę.

Wszczął się popłoch, wołania, krzyki. Ambasadorowie i ich służba nie mieli w pogotowiu broni; zaczęto jej szukać, gdy z karet przemocą wyciągnęli huzarzy drugiego posła, a za nim i innych członków poselstwa. Na nieszczęsne ofiary rzucili się zdradzieccy napastnicy z gołymi pałaszami, rąbiąc i siekąc bez litości. I drugiego ambasadora francuzkiego, a wraz z nim kilku członków ambasady zarąbano na śmierć. Uciec zdołał zaledwie jeden tylko sekretarz ambasady i choć ciężko poraniony, znalazł w sobie dość sił, aby się schronić do domu jakiegoś poczciwego mieszczanina na przedmieściu w Rastadtcie.

Wieść o spełnieniu tego ohydnego morderstwa na nietykalnej osobie posła sprawiła wrażenie w całej Europie i nie było człowieka, któryby się nie wstrząsnął na myśl takiego barbarzyńskiego i nieludzkiego podeptania wszelkich międzynarodowych praw. Każdy pytał: Cóż za kara spotka morderców?!

A mordercy? Z morderców nikt nie zawisł na szubienicy, nikt głowy nie oddał pod miecz katowski. Widocznie czuwała nad ich życiem i zdrowiem jakaś potężna dłoń opiekuńcza, bo śledztwo sądowe „nie wykryło sprawców“.

„Nie wykryto morderców i nie stwierdzono ich identyczności“ pisali Niemcy do rządu francuzkiego, który domagał się sprawiedliwości i pomsty za śmierć swych posłów. Zupełnie w ten sam sposób odpowiadali mandaryni i wielkorządzcy chińscy, gdy rządy domagały się od nich ukarania sprawców zbrodni, popełnionej na jakimś misyonarzu...

I oto upłynęło sto lat od chwili, gdy na ziemi niemieckiej taki — jedyny w Europie — czyn barbarzyństwa i dzikości został spełniony na nietykalnych osobach posłów. Minęło sto lat, aż wreszcie tajemnicza dłoń, co posuwa na zegarze wieczności wskazówkę czasu, posunęła wskazówkę na punkt, na którym miała się rozrachować historya z tymi, co taki czyn haniebny popełnili.

I niemal w stuletnią rocznicę zamordowania posłów francuzkich w niemieckim Rastadtcie — przynosi gdzieś z za morza wiatr wschodni tragiczną wieść o zamordowaniu posła niemieckiego, barona Kettelera w Chinach.

Poseł jechał konno, żołnierze i bokserzy otoczyli go, zrzucili z konia, zamordowali, poćwiartowali ciało mieczami i zasypali ziemią. Tłomacz, który towarzyszył posłowi, zdołał ujść z życiem, jakkolwiek strasznie go poraniono.

Ten akt dzikiego gwałtu mimowoli przywołuje wspomnienie owego niemniej dzikiego i niemniej barbarzyńskiego mordu posłów francuzkich w Rastadtcie i mimo woli się odczuwa jak gdyby działanie jakiejś

historycznej Nemezys, która krew przelaną krwią zmywa. Pomiędzy Rastadtem a Pekinem jest dziś, po stu latach przeszło, jakaś analogia wypadków, jakiś łącznik dziejowy, jak pomiędzy przyczyną i skutkiem.

Niemcy, w wysokiem a nieuprawnionem przekonaniu o swej cywilizacyi i kulturze, używają morderstwa swego posła za wygodny pretekst do skarg na barbarzyństwo Chinczyków i do zapowiedzi, że zająć się trzeba „cywilizacyą“ tego kraju, tak ogołoconego z wszelkich humanitarnych i etycznych zasad.

Mniejsza o morderstwo, popełnione w Rastadtcie; wyrównywuje się ono pożałowania godnym zgonem posła niemieckiego; — ale jakiem prawem Niemcy chcą owładnąć krajem i narodem, który ma swoją rodzimą kulturę; — który Niemców nie szuka i wobec cudzoziemców wrogim nie był, dopóki Niemcy nie zaczęli występować w sposób tak arogancki i brutalny, jak gdyby nie z ludźmi w ich własnym kraju, ale z jakiemiś niższymi tworami mieli do czynienia.

Jak jednomyślnie poświadczają wszystkie angielskie, rosyjskie i francuzkie zródła, stosunki Europejczyków z Chinami były jak najlepsze, dopóki nie wmięszali się Niemcy i zabraniem Kiao-Czau na swoją własność nie zdradzili swych istotnych zamiarów — podziału Chin. Poprzednik zamordowanego Kettelera występował wobec rządu chińskiego z taką bezwzględnością, na jaką tylko tradycye pruskiej polityki uprawianej wobec słabszych zdobyć się mogły.

Po dziś dzień nie wymarły w polityce niemieckiej tradycye krzyżaków. Jak krzyżacy niegdyś „nawracali“ i cywilizowali“ ogniem i mieczem Litwę, jak tępili Bogu ducha winne plemiona słowiańskie pod pokrywką cywilizacyi, tak ich potomkowie w naszych ziemiach „szerzą kulturę“, a dziś i wobec Chin chcą występować w roli kulturträgerów.

Z jakiej racyi? Czy — z jednej strony — kultura Chin jest tak nizką, a — z drugiej strony — kultura niemiecko-europejska jest tak wysoką? Kultura i cywilizacya chińska liczy *kilka tysięcy* lat, to znaczy, że Chiny, jako państwo, już istniały i miały swój sposób organizacyi społecznej już wtedy, gdy narody dziś Europę zamieszkujące, a wraz z nimi Germanie, jako niezorganizowane hordy błądziły po stepach, prowadząc życie koczownicze i mało czem się różniąc od zwierząt. Wtedy już znano proch, badano ruchy gwiazd zapomocą teleskopów i narzędzi mierniczych — a zanim Gutenberg wynalazł w Europie druk, w Chinach już wychodziły gazety. Filozofia Konfucyusza, jednego z najgłębszych reformatorów, przez badaczów europejskich stawiana jest na równi z filozofią Greków i nowszych czasów.

Gdy Li-Hung-Czang odbywał po Europie podróż, pokazywano mu jako jeden z ciekawych wynalazków — rower. Li-Hung-Czang, stary Chińczyk, pokiwał na to głową i rzekł: „Przed siedmiu set laty była u nas moda używania tych instrumentów; jeździły też i kobiety, ale cesarz musiał wydać edykt, zabraniający tego, bo mężczyźni dostawali chorób piersiowych, a kobiety stawały się bezpłodne.“

Jak byśmy jednak nisko chcieli cenić cywilizacyę chińską, to czyż cywilizacyę europejską można cenić tak wysoko — zwłaszcza tę cywilizacyę, którą propagują Niemcy? Znamy ją wszak dobrze: polega ona na zasadzie: „*ôte toi, que je m'y mette*“ (usuń się, abyśmy mogli zająć twe miejsce.) To też owa cywilizacya najsilniejszą jest na tych punktach, gdzie chodzi o zmuszenie innych, słabszych, do usunięcia się z zajmowanego miejsca. Największą jej wyższością jest kolosalny militaryzm, który, jak pijawka, wysysa krew z ludności; wyższością jej jest też, że Europejczycy do Chińczyków będą mogli strzelać z odtylcowych karabinów i dział Maxima, a Chińczycy bronić się będą strzelaniem z łuków drewnianych. A gdy — w danym razie — armaty Maxima, szrapnele i kule „dum-dum“ utorują drogę Europie do serca Chin, gdy potem opium i alkohol, importowany lub wyrabiany przez Europejczyków, zdegeneruje i wytępi Chińczyków, przyjdzie jaki zwaryowany socyolog i napisze rozprawę, że tak się stać musiało, ponieważ „prawo wyższości kultury jednej nad drugą jest nieugięte.“

Niedawno, bawiąc w Dreźnie, zwiedzałem muzeum antropologiczne. W jednej z sal, w których zgromadzone są woskowe figury, przedstawiające rozmaite typy ludzkiej rasy, zauważyłem postać jakiegoś czerwonoskórego, — postać, która przyciąga wzrok proporcyonalnością kształtów i budową silną a jednak harmonijną ciała, jak niemniej składem czaszki, znamionującym rasę, podatną do cywilizacyi i posiadającą pewną wrodzoną inteligencyę. Pięknie sklepione czoło, kształtny, energiczny nos, usta nie o wywieszonych, jak u murzynów wargach, czyniły sympatyczną nawet cerę ciemno-czerwoną tego człowieka.

Zbliżywszy się do szafy, w której za szkłem znajduje się ta postać, przeczytałem następujący wymowny napis:

Mieszkaniec wyspy Tasmanii.

W roku 1803 objęli Anglicy w posiadanie Tasmanię, gdy było 35 tysięcy tubylczej ludności.

W roku 1815 było Tasmańczyków już tylko 5 tysięcy.

W roku 1847 było ich jeszcze 45-ciu!

W roku 1876 umarł ostatni Tasmańczyk, z którego po śmierci zdjęty został niniejszy odlew gipsowy.

Wymowny obraz kultury i cywilizacyi europejskiej, nieprawdaż?!

A do czegóż innego dążą panowie z HKT. a wraz z nimi cały polityczny kurs, jeśli nie do tego, aby do takiej szklanej szafy zamknąć ostatniego Polaka, jako okaz wymarłego plemienia?

Czy wobec obcych ta cywilizacya europejska kiedykolwiek innego czego dokazała, jak tylko tępienia i jeszcze raz tępienia? Czy po odkryciu Ameryki nie Europejczycy wytępili cały naród łagodnych i cywilizowanych tubylców? Czy na Filipinach psów nie przyuczano, aby rozszarpały biednych tubylców? Czy nie frymarczono niewolnikami, dopóki tego towaru starczyło? Czy w belgijskiem Kongo, w angielskich Indjach, w niemieckich koloniach w Afryce nie dzieją się rzeczy, na same wspomnienie których krew się ścina. Wszystko to jednak nazywa się przecież — — cywilizacyą. Jej dążenie jest jedno: zamknąć do szklannej szafy ostatniego tubylca jako ciekawy okaz wymarłej rasy.

Wyciąć tubylców, zagarnąć ich kraj — oto kwintesencye tej kultury.

Zapewne ktoś tu nadmieni: a szerzenie nauki chrześciańskiej? Czy ta idea chrześciańska, którą posiada nasza kultura — to nie niezmierna wyższość jej nad innemi?

Nie sądzę. Wyższość, aby była istotną, a nie urojoną, polegać musi na faktach, a nie na ideach. Europejska kultura z chrystjanizmu zyskała tylko nieskończenie wysoki ideał piękna i dobra, — ale chyba po to, aby go deptać i niweczyć w każdym czynie, na każdym kroku.

Miał racyę słuszność ów Chińczyk, który zapytał Europejczyka, opowiadającego mu o ideach chrześciańskiej cnoty: „A czy wasze spo-

łeczeństwo trzyma się tych zasad? Bo jeśli nie — to czyż ono samo nie potrzebuje, aby je nawracać na drogę tych ideałów?“

Każdy naród, każde społeczeństwo ma pewne prawo ugruntowane na fakcie swego istnienia: *ma prawo bronienia się przed zagładą.* Ma je zarówno Europejczyk, jak Tasmańczyk, zarówno Polak, jak Chińczyk.

Gdy w przeciągu lat kilku w Europie publicznie dyskutowano o podziale Chin, to czy można się dziwić, że dziś ten naród chce się bronić; można i należy potępiać sposób, w jaki rozpoczął obronę swą, przez morderstwo posłów: ale nie należy też zapominać, że ci sami Niemcy, którzy chcą „cywilizować“, niedawno mogli obchodzić setną rocznicę morderstwa spełnionego na posłach francuskich. Nie należy też zapominać, że w głowach niemieckich wylągł się projekt, aby przez zemstę zburzyć w Pekinie groby cesarzów chińskich wraz z prochami zmarłych, spoczywających tam tysiące lat i czczonych jako świętość.

Taki miał być początek cywilizowania. A koniec?...

Gdy Chińczycy pomyśleli o tym końcu, łatwo ich mogła napaść chęć zrozumiała ugotowania wszystkich Europejczyków w smole i wykłucia im oczu.

Kazimierz Radwan.

Między młotem a kowadłem.

Jakby przeklęta, Azya, to ojczyzna różnych plag. Dżuma, cholera, szarańcza, dzikie hordy — oto jej liczne potomstwo, które już nieraz z łona tej matki, jak węże z gniazda, na świat wypełzawszy, różne nawiedzając kraje, wszędzie ślad swego pochodu, mogiłami i ruiną znaczyło.

A jak zabójczem tchnienie zarazy, tak też i najazd barbarzyńców straszny. Tam jad, a tu znów ogień i miecz ziemię pustoszył — i to niezawsze dla korzyści tylko, ale więcej z wrodzonego dzikim pragnienia krwi i pożogi.

A spadali nagle jak kara niebios. Attylę zwano biczem bożym. Raz han tatarski, w odpowiedzi na prośbę mieszkańców zdobytego miasta, powiedział, że nic mu wprawdzie niezawinili a jednak nie może ich oszczędzić, bo widocznie za jakieś grzechy Bóg mu ich w ręce oddał, więc musi wolę bożą spełnić.

Ale z zarazą coraz skuteczniej walczy nauka, a rozwój sztuki wojennej usunął wszelką obawę najazdu. Przynajmniej obecnie zdają się ci barbarzyńcy, mimo swej mnogości, bezsilni; ale w gruncie rzeczy liczba ich nie przestała być groźną. Chwilowo wprawdzie świat cywilizowany wytrącił im broń z ręki, ale natomiast coraz bardziej zaczynają go zalewać swą tanią pracą, grożąc robotnikowi wprost ogłodzeniem. A dzięki kapitałowi, który im ułatwia i przyspiesza ten korzystny dla siebie potop, straszne widmo ekonomicznej konkurencyi coraz groźniejsze, i wkrótce może się stać równie strasznem jak inne azyatyckiego pochodzenia plagi.

A kto wie czy w ślad za tą cichą, bezkrwawą ale niemniej niszczącą walką, Azya nie zapragnie po dawnemu chwycić za żelazo— niech się tylko poczuje na siłach. A już się przecie zaczyna budzić z wiekowego letargu i nawet dość szybko dogania Europę, ucząc się od niej przedewszystkiem sztuki zabijania. Nowoczesny więc jakiś Timur, nie byłby niespodzianką — uzbrojony zaś w działa Krupa i odtylcówki, może być równie strasznym jak tamten.

A może niedługo przyjdzie nań czekać. Europa bowiem robi sama wszystko, aby jego przyjście przyspieszyć. Jak chciwy zysku kapitał sięga po tanie ręce azyatyckich ludów, tak znów zawiść i polityka państw, uzbraja i uczy je sztuki wojennej, sprzedając im broń i posyłając swych oficerów.

Wszak Japonia dopiero się w naszych oczach ocknęła, a już się z nią muszą nawet pierwszorzędne potęgi liczyć. A czemużby i w Chinach nie miał się pojawić jakiś w rodzaju mikada reformator, aby zbudzić z uśpienia 400 milionową ludność państwa niebieskiego?

Ale i na to nie potrzeba czekać, bo niebezpieczeństwo nietylko z Chin przyjść może — bliżej ono leży. Pamiętajmy, że ten sam duch dawnych Mongołów żyje utajony w ich potomkach i spadkobiercach tej wschodniej idei zagłady dla zagłady tylko.

A Rosya bynajmniej się z tem nie tai, owszem, głośno się przyznaje, że jest dziś główną przedstawicielką wschodu i że jej dostała się w udziale misya położenia kresu cywilizacyi zachodniej.

Ciekawą w tym względzie wygłosił mowę ks. Uchtomski, poseł cara. Wręczając cesarzowi chińskiemu podarunek od swego pana, wyraźnie powiedział, że „stuletnia przyjaźń łącząca Rosyę z Chinami, posiada znaczenie dziejowe. Ze wszystkich państw zachodnich, tylko ona jedna związana z Chinami pokrewieństwem krwi i ducha, i tylko ona tworzy tamę materyalną przeciw ideom i dążnościom zachodu“.

Trudno zaprzeczyć — powiedział prawdę.

Rosya również jak Chiny, opasana patryotycznym murem paszportów i cenzury, zamknięta łańcuchem mnóstwa ukazów i wyjątkowych praw, jak zarazy wystrzega się wszelkiego światła i wpływu łacińskiego zachodu. Żadna myśl europejska nie ma tam wstępu; a jeśli czasem, omyliwszy czujność straży, wciśnie się podziemnym szlakiem, to zaraz jej posiew rząd z korzeniem usiłuje wyrwać. A jeżeli już ta zaraza zbyt głęboko wrosła w serce, to gotów bodajby i samo serce wyrwać, byle nawet i śladu zarazy nie pozostało.

Jedynie postęp sztuki wojennej stanowi wyjątek. Rosya bowiem tylko środki zniszczenia bierze od Europy; po za tem zamknięta w sobie, pielęgnując i gromadząc zasoby własnej a całkiem odrębnej cywilizacyi, gotuje się do spełnienia swej „wielkiej misyi“.

Słowem, jako spadkobierczyni ducha swych dawnych panów — Mongołów, chce dalej prowadzić zaczęte przez nich dzieło. — Tylko sztandar i hasło różne, ale dążność jednaka. Tamci nieśli przed sobą chorągiew Machometa, Rosya zaś idzie w imię swego prawosławia i jego głowy, cara, aby tak samo zniszczyć wstrętną jej cywilizacyą zachodu.

Rosya nietylko sama chce pozostać azyatycką, ale nadto radaby swą kulturę całemu światu narzucić. To jej marzenie. Już dziś bezkarnie depcąc w Polsce pomniki wiekowej pracy ducha łacińskiego, urąga tam zachodowi i jak zwierz krwią zaprawiony, łaknie nowych ofiar. Wkrótce też może i na inne ludy przyjdzie kolej. Dawniej Polska jak przedmurze zasłaniała cywilizacyę; dziś ta Polska leży w gruzach — nie ma wału ochronnego — a ztąd i nie-

bezpieczeństwo dla nich większe. Gdy ta pierwsza linia złamana, wrota dla najazdu otwarte do ogniska Europy. Wkrótce może zachód dotkliwie odczuje brak tych piersi, co go przez wieki zasłaniały na polach Chocima lub pod murami Wiednia. Groźny azyatycki potwór, którego tam nasz Sobieski ubezwładnił, dziś znów zaczyna głowę podnosić — bo nie ma Polski.

A trzeba nie znać Rosyi. aby spać spokojnie, gdy ona już u bram stoi. Może niezadługo wybije godzina czynu, i car wypuści swe azyatyckie hordy, uzbrojone w dalekonośne karabiny Europy. Kozacy z kwikiem będą przebiegać ulice jej stolic — Sybir się zaludni różnojęzyczną rzeszą, jak niegdyś zaludniał się Szwedami i do dziś zaludnia Polakami.

Wszystko to nietylko możliwe, ale prawdopodobne, nieomal konieczne.

Już dziś przecie u jej granic, na ziemiach polskich, ścierają się te wrogie prądy; a jutro może dalej Azyata posunie swe zagony, i obie potęgi oko w oko staną do otwartej walki o panowanie nad światem.

„Pokoritieś jazycy“ (Korzcie się poganie).

Oto wymowne słowa Mikołaja, które ten car przedwcześnie rzucił Europie, gdy mu wypowiedziała wojnę krymską.

Ten okrzyk dumnego despoty wybornie charakteryzuje całą politykę Rosyi, jej zachcianki i cele, wskazane przez przodków i testamentem Piotra W. zalecone. A powtarza go cały naród, powtarza bezustanku i w rozmaitych formach; bo Rosyanin wszystkie inne narody uważa za pogan, których należy upokorzyć, należy ich cywilizacyę zburzyć i w zamian narzucić im swoję własną, wschodnią, razem ze swojem prawosławiem.

Jest to zatem walka dwóch żywiołów całkiem sobie obcych duchem, wyrosłym z odmiennego historycznego rozwoju.

Łudzi się przeto, kto wierzy w szczerość i trwałość cudzołożnego związku Rosyi z Francyą. Car i republika, car i idea wolności — to przecie dwa pojęcia niedające się z sobą zestawić. Car nie może popierać zasad przeczących jego założeniu i dążnościom,

Francuzi zapomnieli, że już Napoleon I doświadczył tego na sobie ile warte przymierze z Rosyą. Choć sam despota, nie znalazł jednak do cara przystępu i mimo umizgów upokarzających, nie zdołał go pozyskać. Car wierny swym zasadom, odepchnął natręta jako dorobkowicza, a więcej jeszcze jako wyrosłego z płomieni rewolucyi. Wprawdzie przymuszony zawarł z nim przymierze, a nawet dał mu korpus przeciw Austryi; ale ten korpus tak działał, iż prawie na równi był niebezpiecznym jak otwarty nieprzyjaciel; w żadnym razie szkody Austryi nie wyrządził, a mimo to przyszło drogo za tę mniemaną pomoc zapłacić.

Francya dzisiejsza zapomniała o tem, i znów szuka tam pomocy, dając światu smutne widowisko upokorzenia. Ale poniekąd można ją usprawiedliwić. Ma bowiem do załatwienia sąsiedzkie rachunki, a znikąd pomocy. Nie dziw więc, że odcięta, gotowaby nietylko z Rosyą, ale bodajby nawet z samem piekłem wejść w przymierze, byleby tylko zemścić się i swoje odebrać. Niemniej to złudzenie, bo Rosya nigdy nie będzie popierać idei republikańskiej, tak przeciwnej jej „narodowemu posłannictwu“. Jeżeli coś uczyni, to nie za umizgi, ani z przyjaźni, ale chyba — chyba za nadzieję posadzenia na tronie Ludwików swego carewicza.

Rosya przecież ani palcem darmo nie kiwnie. Darmo wprawdzie posłała swe wojska na poskromienie Węgrów, ale to całkiem rzecz różna. Rosya w tym wypadku widziała wspólność interesów. W interesie jej bowiem zawsze leży tłumienie wszelkich porywów i zachcianek wolności, a Węgrzy właśnie domagali się swobody, i to już wystarczyło, aby Austryi dopomódz.

Niech się nikomu nie zdaje, że tak musimy przemawiać ze stanowiska polskiego. Przymierze Francyi z Rosyą jest raczej dla nas wygodnem, bo rozrywa stare trójprzymierze, które nas żelaznym pierścieniem opasywało. Tracimy wprawdzie punkt oparcia we Francyi, ale to strata bardzo względna. To oparcie zawsze nas drogo kosztowało, a nigdy pożytku nie przyniosło. Jeżeli więc ubolewamy, to nie z polskiego, lecz ogólno cywilizacyjnego względu.

Zresztą nie o to nam w tej chwili chodzi. Chcielibyśmy tylko po raz tysiączny zwrócić uwagę na stanowisko Rosyi wobec zachodu, a w szczególności na nasze położenie, w którem nas postawiła z jednej strony źle zrozumiana lub karygodna obojętność Europy, a z drugiej zaborcza Rosya.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Owoce germanizacyi.

Jednym z najnieprawdziwszych, a mimo to — niestety — najbardziej rozpowszechnionych przesądów jest ten, który Prusacy starają się rozsiewać o stosunku swym do Polaków w dzielnicach wschodnich, twierdząc, że germanizacya ludności polskiej jest w istocie rzeczy niczem innem, jak podniesieniem jej na wyższy szczebel cywilizacyi. Pod tym sztandarem fałszywej cywilizacyi Niemcy już od kilkudziesięciu lat żeglują, a obce narody, nie znając istotnego położenia rzeczy, nie zadają sobie nawet pytania: czy też naprawdę Niemcy przynoszą ze sobą ową osławioną wyższą kulturę, czy oni też naprawdę mogą posunąć ludność na ogólno-ludzki, wyższy szczebel cywilizacyi?

Aby się o tem przekonać, dość spojrzeć na Księstwo, na Prusy Zachodnie i Górny Śląsk... Niewątpliwie poznamy odrazu, że to, co Niemcy w swej pysze nazywają wysoko kulturną swą pracą — nie jest w istocie rzeczy niczem innem, jak tylko krzywdą, wyrządzaną przez nich prawdziwej kulturze i wszelkim ideom prawdziwego postępu.

Przedewszystkiem rzuca się w oczy fakt, że specyalnie pruska kultura we wschodnich prowincyach państwa ma bardzo mało cech wspólnych z drogocennemi skarbami niemieckiego ducha narodowego i niemieckiej kultury. Ta „cywilizacya“, którą nam narzucają z Berlina, to specyalna cywilizacya junkrów i biurokracyi, jak ją trafnie określiło niedawno rosyjskie pismo „*Siewiernyj Kurjer.*“ Cechą zasadniczą tej biurokratyczno junkierskiej cywilizacyi jest to, że pragnie ona zapomocą policyjno-administracyjnych środków opanować szerokie warstwy społeczne i odebrać im wszelką samodzielność ducha i czynów.

Cywilizacya pruska wprowadza ze sobą przymus szkolny. Przymus ten ze względów zdrowotnych jest w obecnych granicach czemś

niesłychanie sprzecznem ze zdrowiem i rozwojem fizycznym młodego pokolenia, śmiało bowiem rzec można, że wiek lat sześciu — to granica, od jakiej chyba wyjątkowe tylko dzieci mogłyby się zacząć uczyć; zdrowie i rozwój umysłowy większości wymagałby raczej, aby naukę zaczynać dopiero od 8— lub 9 roku życia. Ale tu państwo — szkoła pragnie jaknajwcześniej oderwać dziecko od rodziny i dostać je w zakres swych wpływów: dlatego, bo gotowa raczej już od pięciu lat zagarnąć dzieci w swoje pazury.

Przechodząc koło żydowskich hederów, czyli szkół, gdzie „mełamed“ zaczyna naukę talmudu z cztero-letniemi żydziętami i każe im ślęczeć po parę godzin dziennie nad słowami, których nie rozumieją, mówimy z oburzeniem: jakież to barbarzyństwo! I za barbarzyństwo uważamy ten przyjęty w żydowstwie system nauczania, dzięki któremu żydzięta, wybladłe i wynędzniałe, dochodzą do formalnego ogłupienia. Tak jest: tamto nazywamy barbarzyństwem, a gdy nasze dzieci w sposób mało co lepszy od tamtego ślęczą w szkole pruskiej, musimy dopiero rozważać, czy to nie jest czasem „wyższa kultura!“ W takim razie — ostateczności się stykają, jak mówi przysłowie francuskie, — i ta wyższa kultura ma niesłychane podobieństwo do niższej.

Specyalnie jednak przymus szkolny dla dziecka polskiego jest źródłem prawdziwych tortur i męczarni. Nie umiejąc słowa po niemiecku, dziecko polskie wstępuje do szkoły, w której nauka prowadzona jest w sposób, przyjęty w zakładach dla głuchoniemych. Nauczyciel i uczniowie nie rozumieją się nawzajem. Nauczyciel bierze do rąk lub rysuje kredą na tablicy jakiś przedmiot i mówi głośno jego niemiecką nazwę. Dzieci powtarzają głośno nazwę przedmiotu dopóki jej nie zapamiętają. Rzecz naturalna, że wobec tego systemu nauczania, chłopiec opuszcza szkołę prawie w takim samym stanie rozwoju umysłowego, w jakim wszedł do szkoły, a wbitą do głowy naukę niemiecką zapomina w krótkim przeciągu czasu.

Jeśli dodać wszystkie upokorzenia, które znosić musi dziecko polskie z powodu swej narodowości, jeśli dodać hańbiące kary i napisy „ja, niegodziwy łobuz, ośmieliłem się mówić po polsku“ wieszane na szyjach winowajców, to otrzymamy istotnie odrażający obraz tej specyficznie pruskiej „cywilizacyi.“

Rzućmy okiem w inną stronę. Jakie elementa występują w charakterze działaczy sprawy niemieckiej w polskich prowincyach? Pruski urzędnik, przysłany do Poznańskiego, wie, że przysłano go tam w celu germanizacyi ludności miejscowej; on wie, że wszystko mu będzie przebaczone, jeśli tylko da dowód swej gorliwości w rozwijaniu „ducha pruskiego“. To, co wolno na całym obszarze Niemiec, zabronione lub utrudnione jest w Poznańskiem. Swoboda stowarzyszania się jest zależna od humorów wykonywującego obowiązki władzy urzędniczka.

Uniwersytetu — owego naturalnego ogniska prawdziwej cywilizacyi — niema ani w Poznańskiem, ani w Prusach Zachodnich. Rząd rozumie bardzo dobrze, że taki choć niemiecki uniwersytet stanowiłby środowisko polskiego życia umysłowego, dlatego też odmawia zasadniczo zezwolenia na założenie wyższego zakładu naukowego w Poznaniu.

Tak oto wygląda „wyższa cywilizacya.“

Doprowadziła ona nasze dzielnice do prawdziwego upadku kultury w porównaniu z dawnemi laty. Oprócz nauki czytania i pisania — znanych dziwolągów ortograficznych, — dziecko polskie nic ze szkoły pruskiej nie wynosi. W gimnazyach tyle się czyni wysiłków dla zgermanizowania młodego pokolenia, że dla prawdziwej nauki nic nie pozostaje. Gdy porównamy dzisiejszy stan umysłowy Księstwa z położeniem, w jakiem dzielnica wielkopolska znajdowała się przed czterdziestu laty, trzeba przyznać, że pod względem cywilizacyi postąpiła ona parę kroków — wstecz!

A wreszcie: ta przewrotna pruska kultura wykopała pomiędzy obydwoma narodami głęboką przepaść, która wspólnej cywilizacyjnej pracy zawsze będzie przeszkadzać. To jest dzieło wywrotowe owej haniebnej i hańbę światu przynoszącej pruskiej cywilizacyi.

K. R.

Nasze położenie ekonomiczne.

(**Handel i przemysł.**)

W poprzednich dwóch artykułach w krótkości omówiliśmy dwie odrazu rzucające się w oczy cechy naszego położenia ekonomicznego, mianowicie brak robotników rolnych, emigracyę sił roboczych i zależny od obydwóch tych zjawisk zły stan naszego rolnictwa, mianowicie w sferze większej własności ziemskiej. Aby uzupełnić ten pogląd na nasze położenie ekonomiczne, musimy kilka uwag poświęcić sprawie handlu i przemysłu, ponieważ sprawy te w bezpośrednim stoją związku z rolnictwem.

Upadek rolnictwa wynagradza się w Niemczech poniekąd rozwojem przemysłu i handlu. Przypatrzmy się naszym prowincyom, a ujrzymy, że o Poznańskiem to się twierdzić nie da. W ogólności przemysł w Poznańskiem stoi na bardzo niskim stopniu rozwoju.

Ogranicza się on do bardzo nielicznych gałęzi i jeśli w ciągu ubiegłych lat trzydziestu uczynił jakiekolwiek postępy — to dotyczyły one jedynie rzemiosła i rękodzieł.

Rzemieślników i rękodzielników — nazywanych w Poznańskiem przemysłowcami — istotnie w Poznańskiem jest dużo, ale przemysłu prawdziwego w znaczeniu produkcyi fabrycznej nie ma. Również i przemysł domowy nie puścił korzeni.

Przed laty, gdy rolnictwo było jeszcze dość korzystnym działem gospodarstwa społecznego, dochód z niego pokrywać mógł wartość importowanych z głębi Niemiec wyrobów obcego przemysłu, a w ten sposób utrzymać się mogła pewna równowaga bilansu ekonomicznego. Dziś importować muszą nasze prowincye wyroby przemysłu obcego jak za dawnych czasów, nie mogąc zaś w tej mierze płacić eksportem wytworów rolnictwa na rynki niemieckie, muszą doroczne manco pokrywać przez emigracyę, czyli eksport sił roboczych. Jest to jasne.

Każdy ekonomiczny organizm, który nie wytwarza w jednym dziale produkcyi tyle, aby módz pokryć wartość obcego dowozu w innych działach musi płacić jedyną wartością, która mu pozostaje do dyspozycyi: wartością sił roboczych. Rozwiązanie tej kwestyi spoczywać może — gdy niema nadziei polepszenia stosunków w rolnictwie — tylko na polu przemysłowem, zarówno na polu wielkiego, czyli fabrycznego, jak na polu drobnego, czyli domowego przemysłu.

Stan rękodzielnictwa polskiego w Poznańskiem jest zadawalniający i produkcya we wszystkich działach rzemiosła przedstawia się pokaźnie. Dodać tu jednakże musimy, że we wszystkich tych działach już daje się uczuć pewne prze-

pełnienie. — Rzemieślnik — ma walkę o byt niezmiernie utrudnioną przez coraz liczniejsze zastępy garnącej się do rzemiosła ludności.

Widujemy w Poznańskiem często szewców „uczonych“ (którzy ukończyli termin) w innych zawodach, na posadach konduktorów tramwajowych, portyerów, kamerdynerów, woźnych itd. To samo widzimy i w dwóch innych liczebnie najpoważniejszych zawodach: w zawodzie krawieckim i stolarskim. Niemniej i w rzemiośle kowalsko-ślusarskiem więcej jest majstrów, niż pracy.

Wobec tego twierdzić można, że w tym kierunku przemysł się dalej nie rozwinie i nowym siłom zatrudnienia nie da. Pozostaje przemysł fabryczny i przemysł domowy. — Dlaczego przemysł fabryczny się nie rozwinął?

Są dwie kardynalne przyczyny: jedna — to brak inicyatywy popartej kapitałami, druga — to brak polskiego hurtownego handlu.

Dokąd nie sięga u nas w przemyśle zdrowa działalność spółek kredytowych (ogranicza się ona przecież prawie że do drobnych przemysłowców) tam brak kapitałów i ubóstwo, które dość zestawić z obfitością ich gdzieindziej, aby mieć jedną przyczynę zastoju w przemyśle. — Spostrzegamy działanie tej samej przyczyny i w przemyśle domowym, najwięcej zbliżonym do fabrycznego i wobec taniości sił roboczych w porównaniu z cenami w przemysłowych okręgach mogącym dać pewne oparcie tysiącom ludzi.

Czas jakiś żywo zajmowano się w Poznańskiem przemysłem domowym. Robiono sobie nadzieję, że przemysł ten zdoła dać zatrudnienie tysiącom rąk i zatrzyma w kraju siły robocze, które rok rocznie opuszczają granice, aby szukać zarobku między obcymi. Lecz brak wszelkich danych, z których możnaby wnosić o jakimkolwiek wzroście przemysłu domowego. Próby czynione w rozmaitych działach przemysłu, zwłaszcza drzewnego, jak koszykarstwo, wyrób toczonych i rzeźbionych przedmiotów dla gospodarstwa domowego, nie wydały żadnego rezultatu.

Dlaczego przemysł drobny nie odpowiedział pokładanym w nim nadziejom?

Bo brak przedsiębiorców z kapitałami. Przecież wyrobnik, zatrudniony w przemyśle domowym, nie może iść na rynek sprzedawać swe wyroby i ponosić najrozmaitsze konjunktury wszechświatowej produkcyi. Woli on wtedy wywędrować tam, gdzie ryzyko produkcyi ponosi kto inny. Wszędzie jest tak samo i inaczej być nie może. —

Brak tych przedsiębiorców - fabrykantów, którzyby swój interes oparli na rozwoju przemysłu drobnego, czyli domowego, jest przyczyną zastoju, choćby lud jak najlepiej pojął korzyści, wynikające z zarobku w drobnym przemyśle, nic on skorzystać z nich nie może, jeśli będzie miał smutną perspektywę poszukiwania odbiorcy na towar.

Drugą przyczyną, która stoi na przeszkodzie rozwojowi przemysłu, jest brak hurtownego handlu polskiego. Każdemu przemysłowi niezbędnym jest dla egzystencyi rynek zbytu. Przemysł w Poznańskiem nie rozwinął się między innemi i z tego też powodu, że pomiędzy naszym fabrykantem a naszym kupcem detalistą nie stanął nasz kupiec hurtowny.

Obecnie, dzięki usiłowaniom kilku towarzystw, jak niemniej dzięki inicyatywie kilku jednostek o szerszym poglądzie na sprawy społeczne, zaczyna się budzić poczucie i zrozumienie gwałtownej potrzeby wytworzenia polskiego handlu hurtownego. Mamy jednak dotychczas bardzo małoznaczące zaczątki tego handlu. —

Nie tyczy się to oczywiście pewnych działów fabrykacyi, jak np. fabrykacyi wódek i likierów, w których mianowicie znaczniejsza ilościowo konsumcya pozwala fabrykantowi wchodzić w bezpośrednie stosunki z odbiorcami.

Inaczej rzecz się ma też i w dziale fabrykacyi machin rólniczych i innych, Fabrykacya ta nie potrzebuje tak dalece zróżniczkowanej pomocy handlu. Fabrykant jest tu zarazem kupcem, a warsztaty składem towaru. Temu też zapewne przypisać należy, że dział fabrykacyi maszyn i narzędzi jest dobrze reprezentowany u nas w stosunku do innych działów przemysłu.

Gdy więc z jednej strony przemysłowi polskiemu w Poznańskiem brak organizacyi opartej na silnej kapitalistycznej podstawie, z drugiej strony brak mu współdziałania organizacyi handlowej, której jednem ogniwem jest handel hurtowny, pośredniczący między fabrykantem, względnie przedsiębiorcą, a drobnym kupcem. My mamy dotychczas tylko te dwa końcowe ogniwa tego łańcha: mamy siły, które można zatrudnić w drobnym przemyśle i mamy przyszłych odbiorców w postaci drobnych handli. Brak dwóch pośredniczących w tym łańcuchu ogniw, bez pomocy których maszyna w bieg nie pójdzie.

Zrozumienie tej palącej potrzeby organizmu ekonomicznego naszego jest pierwszym warunkiem postępu. O ile można przewidzieć, dalszy rozwój naprowadzi sam na myśl, że przedewszystkiem na drodze tworzenia spółek wytwórczych można będzie dojść do zmiany stosunków na lepsze. *K. R.*

Tyara Leona XIII cierniową koroną.

Kiedy na uroczystość śś. Apostołów Piotra i Pawła rozważałem obecne czasy, jakie przebywa następca Piotra św., mimowoli przyszła mi na myśl korona potrójna, tyara, Leona XIII, którą na to złocistą wkładają Papieżowi przy koronacyi na głowę, aby wnet przemieniła się w cierniową. — Cierniową jest ona nie tylko ze względu na odpowiedzialność bardzo wielką namiestnika Chrystusowego na ziemi, nie tylko ze względu na ogrom prac, trudów i przykrości w samym tym najwyższym urzędzie leżących, lecz cierniową jest mianowicie korona Leona XIII ze względu na czasy bardzo smutne, jakie on sam przebywał jako kardynał Camerlengo i przebywa jako Papież, a nad któremi razem z nim bolał i boleje kościół wojujący na ziemi.

Nieprzyjacielem otoczony jest ojciec chrześcijaństwa w swej rezydencyi, jeżli wolno Watykan nazwać tem mianem, gdyż jest on raczej więzieniem, aczkolwiek poniekąd może uprzywilejowanem. Jak Absalon przeciw królowi Dawidowi, ojcu swemu, tak zbuntował się był Wiktor Emmanuel przeciw papieztwu, przemocą i terroryzmem zabrał posiadłość doczesną kościoła, państwo papiezkie, „patrimonium Petri“, a Ojcu św. zostawia tylko pałac watykański i biur nrzędniczych (della Cancelleria). Stawiają Włosi pomnik Garybaldiemu, który do zaboru Rzymu najbardziej się przyczynił („Roma o la morte“ — „Rzym albo śmierć“, wyrzekł on w wściekłości swojej) a miasto Paryż — środowisko Francyi katolickiej, starszej córy kościoła, — wawrzynowy przysyła wieniec, iżby go na Kapitolu, miejscu najważniejszem politycznego Rzymu (a za cesarzów rzymskich świata całego) Garybaldiemu w dowód uznania złożono. Chowają zwłoki wyklętego wdziercy Wiktora Emmanuela w kościele S. Maria ad Martyres (del Pantheon), bezczeszcząc przybytek Pański i posyłają tamdotąd karabinierów (żandarmów) na straż, którzy aż dotąd pilnują trumny jego. — Masoni z hersztami swymi, jak Lemmi i Mazzini, na czele, chcąc wreszcie raz przecie zadać cios śmiertelny znienawidzonemu papieztwu, a z niem Kościołowi, i założyć królestwo swoje czyli panowanie szatana rozszerzyć na ziemi, ustanawiają w Rzymie mnóztwo lóż swoich, a w wymysłach idą tak daleko, że mają osobnych najemników — nie gorszych wiele od szatana, księcia kłamstwa i ciemności — których ubierają po księżemu, w suknię duchowną, każą zarost zgolić i tonsurę zrobić, aby w takiem przebraniu zohydzali w najokropniejszy sposób stan duchowny, podczas gdy inni wysłańcy masonów zwracają ludowi rzymskiemu uwa-

gę na tych synów piekła, nibyto kapłanów, mówiąc doń: „Patrzcie, oto wasi duchowni!“ Policya zaś — milczy.

Mimo tzw. „gwarancyi papiezkich,“ zapewniających Papieżowi wszelkie oznaki suwerena (udzielnego księcia), na początku r. 1898 motłoch uliczny i akademicy, — znowu bez przeszkody policyi — składając wieniec u pomnika mnicha odstępcy Giordano Brunona, palą tam, w Rzymie, na ulicy, za dnia białego portret Leona XIII!

Po za Rzymem na całym świecie, nie wiele lepiej dzieje się; bystre oko Leona spostrzega to aż nadto dobrze, a łzą zachodzi ojcowska źrenica jego, kiedy widzi, jak np. taki książę Ferdynand bułgarski każe przejść synkowi swemu Borysowi na prawosławie, odstąpić na żądanie cara od wyznania rzymsko katolickiego, aby tylko chwilowo utrzymać się przy państewku swojem, z którego wnet może go groźniejszy wiatr zwieje. Łzawi się oko Leona, gdy patrzy on, jak we Francyi, onej katolickiej Francyi, dziś zmasoniałej i zżydziałej co do kierowników państwa, zaczyna się nowe prześladowanie Kościoła, gdy widzi, jak w Austryi biorą sobie katolicy za dewizę: „Los von Rom.“ Chociaż hasło to, wynik szowinizmu narodowego i niedojrzałości albo naddojrzałości religijnej i moralnej, przebrzmiewa bez skutku właściwie zamierzonego, to jednak świadczy ono w sposób jaskrawy o zaniku dawnej religijności i dlatego — to echo jego odbija się o mury Watykanu i żali się Luegerowi Ojciec św.

Smutek i żałość Ojca chrześcijaństwa są chyba nie małe, gdy widzi, jak Chiny, te Chiny zlane już tylokrotnie tylu misyonarzy krwią męczeńską — na lat kilkanaście cofną się w dziele odrodzenia się dla Chrystusa Pana, a to dzięki chciwości świata tego, dzięki zapędom zaborczym potężnych mocarstw chrześcijańskich.

Chociaż raz po raz od wschodu błyśnie nadzieja większego nawrócenia się ludów, chociaż dokonuje się ono rzeczywiście w niektórych krajach (Anglia, Dania, Norwegia), to jednakże prawdą jest, że tyara na głowie Leona XIII, ta złocista korona trzechkrólestwa, jest Papieżowi koroną cierniową.

Noś ją cierpliwie Wielki Leonie! Twój Chrystus i Pan, gdy był przybrany również w nią, a urągiwano Mu na ulicach Jerozolimy — miasta narodu własnego — wtedy szczególnie jako człowiek był najwznioślejszym, a sprawdza się dotąd to, co głosi o Nim napis na kopule bazyliki św. Piotra: „Christus vincit, Christus regnat, Christus imperat“ — Chrystus zwycięża, Chrystus króluje, Chrystus panuje, — więc i Ty, Leonie, choć w więzieniu, choć w cierniowej i ciernistej koronie, jednak jesteś władzcą świata, który zwyciężasz i zwyciężysz świat przez wysłanników pokoju, głosicieli dobrej nowiny.

X. Konst. N.

Z pamiętnych chwil.

XIII.

Bitwa pod Wrześnią.

(Dnia 2-go maja 1848-go roku.)

Ostatnie strzały.

Podczas gdy prosty żołnierz, upojony zwycięstwem nad Prusakami, przejęty był największem zaufaniem do Mierosławskiego i chciał walczyć dalej, oficerowie Wielkopolanie stracili otuchę do dalszego prowadzenia wojny, a widząc zupełną bezowocność wysileń, które nie mogły już sprawy uratować, będąc terytoryalnie ograniczone żelaznym pierścieniem wojsk pruskich, chcieli zwycięstwo miłosławskie wyzyskać w celu otrzymania tem lepszych warunków przy złożeniu broni. Gdy jednak część ich, wytrawni żołnierze, wraz z emigrantami z Francyi i wychodźcami z Królestwa chorągwi odstąpić nie chciała, a nalegania wszelkie na Mierosławskiego okazały się bezskuteczne, złamawszy subordynacyę, samowolnie opuścili szeregi zaraz po bitwie.

Ponieważ dezerterów tych była liczba znaczna, postąpienie ich zatem rozluźniło zupełnie szeregi i trzeba było niesłychanych wysiłków uporu, czujności i energii, aby po jałowem zwycięstwie zapobiedz zupełnemu rozprzężeniu się wojska powstańczego. Dopiero późno w noc udało się zebrać gromadkę strzelców, która zajęła kilka ważniejszych punktów strategicznych, opuszczonych przez Prusaków, a nazajutrz zrana od biedy sformowano szeregi. Mierosławski zamierzał przedrzeć się na Kujawy, aby wzniecić powstanie w tej żyznej, ludnej i bogatej okolicy Księstwa. Wobec rozbicia wojsk pruskich pod Miłosławiem zamiar ten przy odpowiedniej szybkości zupełnie był wykonalny i byłby może zapewnił przynajmniej względne powodzenie dalszym zamiarom Mierosławskiego. Stanęła temu jednak na przeszkodzie grupa oficerów, namawiających do układów z Prusakami i zawzięcie sejmikujących nad tem, co robić. Na tem sejmikowaniu zeszło dużo czasu.

Ponieważ dawny podział na obozy zatrzymano, w obozie wrzesińskim dowództwo objął major Berlie; w obozie pleszewskim pułkownik Kuszel; miłosławską piechotą dowodził Oborski. Pierwsi dwaj skłonni byli do ugody i chcieli swe oddziały rozpuścić wbrew woli i rozkazom Mierosławskiego; jeden tylko Oborski ze swymi ludźmi gotów był do wymarszu.

Wprawdzie dzięki Mittelstedtowi, A. Pilińskiemu, Szubertowi i Mniewskiemu nie udało się rozpuścić oddziałów Berliemu i Kuszlowi, ale czas drogi upływał; jedynie zręczność w przedostaniu się na Kujawy uratować mogła powstańców, bo wydane hasło do wzbudzenia powstania w tyle Prusaków nie wywołało pożądanego skutku; siły pruskie mogły koncentrować się, otaczając wojska powstańcze i nie doznając żadnej poważniejszej dywersyi.

Tymczasem dopiero pod wieczór naprawdę uformowały się szeregi polskie; siła liczebnie pozostała prawie ta sama, co była pod Miłosławiem, bo lud prosty chorągwi się chciał trzymać doostatka; straty w poległych i dezerterach zastąpił przyprowadzony przez Grabskiego i nauczyciela Wołyńskiego oddział z 250 kosynierów średzkich złożony.

Było więc przeszło dwa tysiące ludzi, przeważnie kosynierów, którymi dowodzili w poszczególnych obozach Jabłkowski, Mittelstedt i Mniewski, pod wodzą pułkownika Oborskiego.

Brzeżański zatrzymał komendę nad konnicą.

Pierwszego maja wieczorem o 11-tej wyruszyli Polacy z Miłosławia ku Wrześni, gdzie stanęli około 4-tej nad ranem. Wojsko źle było zaopatrzone w żywność, ponieważ Miłosław kilkakrotnemi przejściami wojsk, a wreszcie walną bitwą, zupełnie ogołocony został z zapasów; dlatego też we Wrześni nad ranem, wygłodniałe szeregi zaczęły się dobijać do kupców, co niemały sprawiło popłoch. Dopiero gdy umyślnie zrobiono fałszywy alarm, że Prusacy idą, zbiegła się wiara do dość oddalonego od miasta obozu, który się znajdował na drodze do Sokołowa.

Pod Wrześnią zatrzymali się Polacy kilkanaście godzin; trzeba było dać odpocząć żołnierzowi, dowódzcy wreszcie potrzebowali czasu do uporządkowania szeregów.

Tu, drugiego maja, około 4-tej po południu, gdy właśnie się zbierał obóz do wymarszu w dalszą drogę ku Gnieznu, dano znać, że wojsko pruskie podchodzi już pod Sokołowo, posuwając się wielkim traktem od Gniezna.

Był to generał Hirschfeld na czele 4 batalionów piechoty, 2 szwadronów jazdy i 6-ciu dział. Dążył on do Wrześni, zapewne z zamiarem połączenia się z oddziałem Blumena, aby 3-go maja wykonać atak na Miłosław. Prusacy wcale nie przypuszczali, że pod Wrześnią napotkają Polaków. W Sokołowie stała słaba placówka polska, która, nie stawiając oporu, pozwoliła Hirschfeldowi zająć wioskę.

Bitwę rozpoczęli Prusacy silnym ogniem działowym. Polacy uformowali się pod samą Wrześnią; oddziały kosynierów ustawione w czworobok stanowiły środek linii bojowej. Kawalerya wraz z kilku działami stanęła na lewem skrzydle. Strzelcy, rozsypani w łańcuch tyralierski, zaczęli z zarośli prażyć nieprzyjacielską piechotę. Prusacy odpowiedzieli na to pociskami granatów i ogniem kartaczowym, wymierzonym na zarośla, w których ukrywali się strzelcy; na czworoboki kosynierskie wymierzyli silny grad szrapneli, które poważną szkodę wśród szeregów polskich zaczęły wyrządzać.

Konnica pruska z ogromnym impetem wykonała szarżę na szeregi polskie. Skoro zbliżyła się nieco w swym pędzie kosynierzy zaczęli uderzać kosą o kosę i sprawili tem dziwny łoskot i chrzęst, od którego niemało koni się spłoszyło i poniosło swych jeźdźców w dzikim popłochu. Szarża została odparta i kosynierzy przeszli do ataku, pierwsza kolumna wśród kartaczowego ognia posuwała się naprzód, lecz wreszcie oddział pruskiej piechoty żywym ogniem na stopięćdziesiąt kroków zmusił ją do odwrotu. Druga kolumna z niesłychaną odwagą szła naprzód, choć na niej krzyżował się ogień pruski z trzech punktów. Pomimo strat kolumna ta pędziła naprzód, aż reszcie wpadła na folwark sokołowski. Tam otoczyła ją trzykroć silniejsza piechota pruska, tak iż o ratunku nie było mowy. Wtedy jeden z oficerów polskich zawołał: *pardon!* i kazał swoim ludziom rzucić kosy. Prusacy, pewni już zwycięztwa nad bezbronną garstką, zaczęli na piętnaście kroków ogień.

Zginęli tu oficerowie-emigranci Krzysztofor, Wołoszyński, Drozdowski, którzy po długiem tułactwie i cierpieniach tu położyli wreszcie życie za sprawę. Nikt nie ocalał. Choć ciężko ranny z ziemi się podnosił, dobijano go uderzeniami kolby, lub pchnięciem bagneta. Równocześnie oderwany od reszty oddzialik kosynierów, ze 30 ludzi może złożony, szukał schronienia w owczarni. Wtedy Prusacy zapalili zabudowania dworskie i obstawili płonące budynki kordonem bagnetów: kto się żywcem nie spalił, ten, wybiegając z płomieni, na bagnety się nadział.

Tymczasem kawalerya polska, chcąc poprzeć wdzierających się gwałtem do Sokołowa kosynierów, wykonała obrót, któryby odciął Prusakom odwrót do Gniezna na Gulczewko. Przytem na odgłos wystrzałów zaczęły się w tyłach pruskiego wojska gromadzić liczne oddziały chłopów z okolicznych wsi, aby przyjść braciom w pomoc. To spowodowało Hirschfelda do odwrotu, który się odbył w porządku. Pościg polski był o tyle skuteczny, że zmusił ich do przyspieszenia w cofaniu, zagroziwszy odcięciem wysłanych naprzód bagaży. Od wsi Gulczewka odwrót ten zaczął przybierać wszelkie pozory ucieczki. Niestety jednak brak amunicyi i świeżych sił uniemożliwił pogoń za uchodzącymi.

Prusacy zatrzymali się dopiero aż w Cieluścinie, aby zebrać siły po rozsypce. Polacy, minąwszy Sokołowo i Gulczewko, stanęli we wsi Gulczewie.

Tak więc bitwa sokołowska zakończyła się znowu zwycięztwem powstańców. Drogo jednak okupione było to zwycięztwo. Około 200 rannych i zabitych było po stronie polskiej, podczas gdy Prusacy nawet czwartej części tego nie stracili. Zwłaszcza szrapnele strasznie czyniły w szeregach polskich spustoszenia.

Lecz i to zwycięstwo, jak poprzednio miłosławskie, lecz i te ofiary i dowody bohaterstwa pozostać miały bezpłodne.

Dr. Kazimierz Rakowski.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Mikołaj Kopernik

skreślił

Zygmunt Słupski.

III.

Życie Kopernika.

Mikołaj syn, urodził się 1473 r. dnia 19 lutego, a jak świadczy astrolog Giuntini, o g. 4 m. 38 po południu, w polskiem mieście Toruniu.

Zaledwie miał lat 10 gdy go ojciec odumarł. Sierotką zajął się brat matki, Łukasz Weiselrode, biskup warmiński. Ten, jako gorący patryota, posłał wkrótce młodego siostrzeńca do tej samej akademii krakowskiej, w której i on sam niegdyś nauki odebrał.

Pod dobrym więc kierunkiem młody Mikołaj, studya swe rozpoczął, słuchając tam wykładów medycyny, a jednocześnie i matematyki i astronomii, którą całą duszą ukochał.

Wtedy już tam przestał wykładać słynny Wojciech Blar z Brudzewa, Brudzewskim zwany; wyjątkowo jednak zajmował się Kopernikiem; a zbawienny jego wpływ uchronił chłopca od bałamuctw wróżbiarskich. Brudzewski bowiem uprawiał tylko czystą naukę astronomii, niełącząc jej z astrologią.

W 1493 obaj bracia, Mikołaj i Andrzej, przerywają te studya, a za wpływem wuja biskupa, otrzymawszy od kapituły warmińskiej wakujące podówczas kanonie, na jej koszt udali się do Włoch.

W Padwie Mikołaj zapisał się na uniwersytet jako „Nicolaus Copernicus Polonus."

Fakt ten najlepiej chyba rozstrzyga spór o jego narodowość. W Krakowie zapisał się tylko: Mikołaj, syn Mikołaja z Torunia, bo tam będąc między swymi, nie potrzebował dodawać kim jest. Byłoby to nawet poprostu śmieszne. Ale inna rzecz wśród obcych. Gdyby zaś uważał się za Niemca, nie byłby ani w Padwie pisał, że jest Polakiem, ani by też w Krakowie nie przemilczał o swej niemieckiej narodowości, tak jak w Padwie nie przemilczał o polskiej.

W 1499 otrzymał podwójny stopień doktora medycyny i doktora filozofii, i to nawet z odznaczeniem, bo wobec licznie zebranej publiczności, włożono mu na skronie dwa wieńce — po jednym za każdy przedmiot.

Zaraz po tej uroczystości, chciwy wiedzy laureat, udaje się do Bolonii, aby jeszcze prawa słuchać.

A już poprzednio zaprzyjaźnił się tam ze sławnym podówczas astronomem Dominico Maria; i obaj ci przyjaciele razem obserwowali zaćmienie księżyca d. 9 marca 1496 r.

Maria był raczej przyjacielem i towarzyszem Kopernika a nie jego profesorem. Mylnie też uczeni włoscy twierdzą, jakoby nasz astronom od niego zapożyczył myśli o obrotach ciał niebieskich. Gdyby tak istotnie było, byłby niezawodnie sam o tem coś wspomniał tak jak wspomina o innych.

Po 10 letnim pobycie we Włoszech, wraca do kraju i na życzenie wuja, przyjmuje wraz z bratem, święcenia kapłańskie. Wkrótce jednak, wezwany przez papieża, jedzie znów do Rzymu, aby tam wykładać astronomią; ale niebawem porzuca tę katedrę i osiada w stolicy rodzinnego kraju, gdzie też wydał 1509 r. swoją najpierwszą pracę, mianowicie łaciński przekład Teophilakta.

Za czasu też jeszcze pobytu w Krakowie, rozpoczął swe najważniejsze dzieło „De revolutionibus orbium coelestium" (o obrotach ciał niebieskich) w którem wszystkie swe spostrzeżenia i rachunki astronomiczne odnosi do południka krakowskiego.

Niezajmując się wtedy praktyką lekarską, cały swój czas poświęcał wyłącznie nam lub stosunkom z ludźmi uczonymi.

Na życzenie stęsknionego wuja, 1510 przenosi się do Frauenburga, gdzie już do śmierci pozostawał, dzieląc czas między obowiązki kapłańskie, pomoc lekarską, którą chętnie niósł ubogim, i swoje ulubione studya, dla których nawet zbudował sobie przy tamtejszym kościele stósowne obserwatorium, i zaopatrzył je

w naukowe przyrządy własnej, nader prostej roboty.

Czasem też, dla wytchnienia, przebywał w poblizkim Olsztynku, wsi przez kapitułę mu nadanej.

Ale dla niego już wypoczynkiem było, gdy się mógł bez żadnej przeszkody, całą duszą oddać swym ulubionym badaniom tajemniczych niebios.

Zdala więc od zgiełku świata, ukryty w tem wiejskiem, zacisznem ustroniu, dniem zatapiał się w księgach, a bezsenne noce spędzał na szukaniu prawdy wśród gwiazd.

Ale prawdziwy ten, wyjątkowy geniusz, był nietylko księdzem, lekarzem i astronomem; ale także niepoślednim matematykiem i mechanikiem, a zarazem poetą, malarzem, prawnikiem, ekonomistą i mężem politycznym.

Napisał kilka ważnych dzieł matematycznych; w Frauenburgu zbudował sztuczne wodociągi; był też autorem poematu pt.: „Mikołaja Kopernika siedm gwiazd“; wymalował własny swój portret znajdujący się na tarczy wieżowego zegara w Sztrasburgu; a jako prawnik i ekonomista, niemałe dla Ojczyzny położył zasługi, gorliwie broniąc jej interesów, przeciw Krzyżakom zwłaszcza, a niemniej zasłużył się przeprowadzeniem reformy monetarnej.

Aby ocenić wielkie znaczenie tej ostatniej pracy, należy wiedzieć, że w Polsce podówczas były bardzo smutne pod tym względem stosunki.

Niektóre pojedyńcze miasta, jak Gdańsk, Toruń, Elbląg i inne, miały przywilej bicia własnej monety; ale że ją biły niższej wartości, więc ztąd cały kraj krzywdę ponosił.

Kopernik przeto wystąpił z memoryałem, radząc w nim, aby odebrać miastom ten przywilej, a natomiast dla całej Polski, jedną wspólną założyć mennicę.

Rząd widać zaraz uznał słuszność tych mądrych uwag, bo już w r. 1522 odbyła się w Grudziądzu narada królewskich komisarzy, w której i sam Kopernik wziął udzia, jako delegat swej kapituły.

A taki projekt, rzecz prosta, nie mógł się podobać mieszczanom, szczególniej też osiadłym w tych miastach Niemcom, a tem mniej Krzyżakom, którym one niedawno zostały odebrane.

Ostro więc napadano z tej strony, nietylko na sam projekt, ale i na jego twórcę. W końcu do tego nawet doszło, że wynajęci przez wrogów komedyanci, publicznie na placach ośmieszali reformatora, który chciał i Plotomeusza poprawiać i pieniądze przeinaczać.

Gawiedź się bawiła żarcikami na koszt Kopernika, ale to nic nie pomogło, projekt jego wykonany został w roku 1528.

Kopernik nietylko w tym wypadku, ale zawsze, przy każdej sposobności występował jako gorliwy i wierny stronnik króla, nawet w jego sporach z kapitułą i Rzymem, gdy szło o prawo obsadzania katedr biskupich. A wcale nie dbał, że się przez to naraża, silnie przez niemieckiego cesarza popieranym Krzyżakom, którzy też potajemnie w Rzymie przeciw królowi intrygowali. On zresztą bezustannie prowadził z nimi walkę; oni zaś wciąż i wszędzie dołki pod nim kopali, uważając go za swego nieprzejednanego wroga.

Tak nieprzyjazny stosunek był zawsze, od samego początku, bo już w r. 1510 paszkwil wydali w Poznaniu.

Ale niczem niezrażony patryota, tem energiczniej występował w obronie praw kraju i dyecezyi, której włości Krzyżacy napadali i rabowali, albo nawet całkiem zabierali, a ztąd często skargi szły do króla i sejmu.

Takiem postępowaniem obrońcy bardzo oburzona gazeta niemiecka „Der Teutsche Merkur“ pisze: „Kiedy mu kapituła powierzała obronę swych interesów, on występował przeciw panom niemieckim i rycerzom mieczowym tak, jak gdyby to nie byli niemieccy panowie, ani rycerze.“

Jeszcze to chyba jeden wymowny dowód więcej, że Kopernik żadną miarą Niemcem być nie mógł, skoro zawsze, jako Polak, przeciw interesom niemieckim a w obronie własnej Ojczyzny, tak gorliwie i ostro występował. Czemuż się Niemcy dopominają o tak zaciętego ich wroga?

W r. 1523 uczony został administratorem dyecezyi, z którego to powodu jej stolicę do Frauenburga przeniesiono. Nie został jednak biskupem wybrany, choć go nawet sam król na kandydata postawił w r. 1537. Pomimo takiej protekcyi, nigdy on na swe skronie infuły nie włożył, infuły, którą tak później wsławili: kardynał Hozyusz, Dantyszek i Krasicki.

Ale choć nie wszedł do senatu i o tyle szczuplejsze miał do działania pole, nie mniej jednak wielkie położył dla ojczyzny zasługi obywatelskie; a wieniec sławy uczonego, sowicie mu tamtę niełaskę losu nagrodził.

Był to zresztą człowiek skromny, a w swej nauce rozmiłowany i tylko jej całą duszą oddany, nie szukał znikomych zaszczytów ni rozgłosu.

Ale czy to przez tę wrodzoną mu skromność, czy też z obawy przeczuwanych już sporów, dość, że się długo z ogłoszeniem swej teoryi ociągał, poprzestając tylko na ustnych jej wykładach w gronie uczonych i przyjaciół.

Już jednak, mimo to, głuche po świecie obiegały wieści o znakomitych odkryciach astronoma. Nawet i uczeni niemieccy tak dalece się tem zainteresowali, że aż z umysłu do Polski wysyłają 1539 r. Jerzego Retyka, profesora z Witembergu, aby się na miejscu przekonał ile jest prawdy w tych pogłoskach.

Młody ten uczony, poznawszy teoryę Kopernika, od razu wielkie jej znaczenie ocenił, a dla astronoma, którego już odtąd mistrzem swym i panem nazywa, wysokiego nabrał szacunku.

Gościnnie w Frauenburgu przez 40 dni podejmowany, gorliwie tam z Kopernikiem oddając się studyom nowej jego nauki, miał sposobność dokładnie ją poznać. Zaraz też w Gdańsku, a następnie w Bazylei, wydał streszczenie dzieła „O obrotach ciał niebieskich“. Książka ta wielką w całym uczonym świecie wywołała wrzawę i jeszcze bardziej podnieciła ciekawość.

Zachęcony tem Retyk wydał w Witenbergu inną znów pracę swego ukochanego mistrza, mianowicie trygonometryą.

Ale pomimo takiego powodzenia i namowy przyjaciół, Kopernik jeszcze się ociągał z ogłoszeniem całego dzieła, a to tembardziej, że Krzyżacy wciąż się starali wszędzie źle opinią przeciw jego naukowym odkryciom usposabiać; rozrzucane przez nich złośliwe wierszyki rozbudzały fanatyzm i ciemnotę tłumu.

Tymczasem kardynał Schomberg radził jak najspieszniej do wydania przystąpić; a biskup Gize sam Retykowi posłał rękopism do Norymbergi. Kopernik, uprzedzając burzę, dodał jeszcze przedmowę, w której papieżowi tę pracę całego życia poświęca.

Ale niemieccy uczeni, poznawszy nareszcie całe dzieło, przelękli się, iż ono wielkie może wywołać zgorszenie.

A właśnie też owa przedmowa wydała im się nader niebezpieczną, bo w niej Kopernik stanowczo twierdzi, że ziemia wraz z innymi planetami obiega wokoło słońca. Dla tego to wydawca, Jerzy Osiander, przedmowę tę usunął i zastąpił inną, własną, w której o teoryi Kopernika mówi z całą oględnością, jako o hypotezie tylko.

Osiander przedewszystkiem obawiał się naruszenia ustalonej powagi naukowej Ptolomeusza, bo wtedy jeszcze o obrazie uczuć religijnych nie było ani mowy, zwłaszcza że nawet sam papież dzieło przyjął nader przychylnie.

Zrazu ani Kościół, ani też uczeni nie widzieli tam nic, coby się mogło sprzeciwiać religii — drażliwszem jednak okazało się przez Krzyżaków podburzone pospólstwo. Jak bowiem podanie niesie, drukarnię, w której to dzieło tłoczono, ciemny tłum zburzył i spalił.

Samowola wydawcy, który zmienił przedmowę, żywo dotknęła biskupa Gize. Oburzony więc, gorzko się użala na tak

wyraźne dobrej wiary nadużycie Osiandra i Schonera.

Ale uszło im to bezkarnie, bo wtedy już autor, śmiertelną złożony chorobą, nie mógł protestować i praw swych bronić sam.

Kiedy mu do łoża pierwszy egzemplarz jego dzieła przyniesiono, popatrzał tylko, dotknął tej księgi swej mądrości i skonał, zostawiając w spuściźnie — światu myśl wielką, a swemu narodowi chwałę, że takiego męża z ducha swego wydał ludzkości.

Umarł ten mąż nieśmiertelnej pamięci dnia 24 maja 1543 r. w Frauenburgu, gdzie żył tak długo i gdzie teraz prochy jego spoczywają pod kamienną płytą w kościele katedralnym, po prawej stronie wielkiego ołtarza.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Chiny otwierają się...

III.

Znaczenie aktu w Kiao-czau. — Posiadłości francuskie w Azyi. — Południe Chin. — Plany wielkiej Azyi angielskiej. — Inne mocarstwa pragnęłyby czekać.

Zajęcie Kiao-czau rozpoczyna nowy a rozstrzygający rozdział dziejów „kwestyi dalekiego Wschodu.“ Niespodziewany, można powiedzieć piorunujący rozkaz cesarza Wilhelma do admirała Diederichs'a i wylądowanie marynarzy niemieckich na terytoryum Szantuńskiem (17-go listopada 1897 r.), opanowanie, podczas zupełnego pokoju, części jednej z osiemnastu prowincyi, wszystko to zmienia czynniki problematu i stosunek wielkich mocarstw do Państwa Niebieskiego.

Znaczenie aktu w Kiao-czau nie mogło ujść uwagi powszechnej: było to bowiem zgwałcenie Chin, wielkich Chin o osiemnastu prowincyach, był to przedewszystkiem nowy stosunek-czynnik gwałtu w polityce dalekiego Wschodu. Niemcy, wydzielając sobie samodzielnie swą cząstkę, pokazując jak należy korzystać ze słabości rządu pekińskiego, stworzyły precedens doniosłości nieoszacowanej.

Europa przyjęła fakt dokonany; zasada całości Państwa Niebieskiego ostała się tylko w formułach dyplomatycznych. Kiedy więc Niemcy zajęły „na 99 lat“ terytoryum Kiao czau, Rosya osiągnęła ustąpienie Portu-Arthura, Talien-wanu i prawo połączenia tych portów z koleją Syberyjską (traktat z 15—27 marca 1898), Anglia zajęła Wei hai-wei (4 go kwietnia 1898), Francya dnia 5-go kwietnia t. r. zażądała zatoki Kuang-cze wan (w sąsiedztwie Tonkinu) i koncesyi kolejowych, w odpowiedzi na co znów W. Brytania wymogła ustąpienie sobie ważnego terytoryum Kao-lung (9-go czerwca). Gra się zakończyła pretensyami Włoch! Przez szczególną sprzeczność, tylko zwycięzka w r. 1895 Japonia nie żądała żadnego terytorym, nawet ustąpiła z Wei-hai-wei bez oporu, aby go oddać w ręce Anglików. Wstrzemięźliwość ta była aktem wiary w przyszłość.

Polityka, rozpoczęta w Kiao-czau, nie napotkała oporu w Anglii. Niemcy — utrzymywano tam — których działanie dotychczasowe w Chinach, nie oparte na posiadaniu żadnego terytoryum, było jakby zawieszone w powietrzu, odtąd będą stanowiły nowy czynnik przeciwważący wpływ Francyi, a przedewszystkiem rozsadzający przymierze, wytworzone po wojnie chińsko-japońskiej. Wielka Brytania dobrze obliczyła: opinia ambasadora francuskiego coraz nieuważniej była słuchana w Tsung-li-Yamenie, głos Francyi w Pekinie słabł. Swoją drogą ta ostatnia uzyskała jeszcze ważne uchwały: trzy prowincye, sąsiadujące z Tonkinem, mianowicie Jun-nan, Kuang-si i Kuang-tung, miały na zawsze pozostać po za sferą czyichkolwiek wpływów, równie jak i wyspa Hai-nan. Uchwały te pozwalają się domyślać, że Francya nie pozwoliłaby żadnemu mocarstwu na okupacyę bądź Hai-nanu, bądź którejkolwiek prowincyi, dotykającej Tonkinu, i że jest gotowa, w danym razie, wesprzeć rząd chiński.

Pomijając na teraz pytanie, czy Francya potrafiłaby należycie bronić swych interesów azyatyckich, t. j. lepiej np., niż to uczyniła w Faszodzie, trzeba zaznaczyć, że jej pozycya w Tonkinie — bezwzględnie i w stosunku do państwa chińskiego — jest nieoszacowana. Już pierwsi pionierzy francuscy, Doudard de Lagrée, Fran. Garnier, Dupuis, zagłębiali się w terytorya nieznane Junnanu, szukając drogi, któredy możnaby przenikać do Państwa Niebieskiego. Tonkin jest rodzajem przedpokoju do bogatych i ludnych Chin południowych. Handel Indo-Chin z Chinami jest jeszcze nieznaczny, lecz mógłby dosięgnąć rozmiarów olbrzymich, gdyby umiano uczynić z Tonkinu, Kochinchiny, Kambodży, Annamu kraje o produkcyi intensywnej.

W bezpośredniej styczności z Tonkinem są trzy chińskie prowincye południowe: Kuang-tung, Kuang si i Junnan. Ze swego położenia geograficznego Junnan, leżący, jak olbrzymi szpunt, między posiadłościami francuskiemi a bogatą doliną Jang tse, jest naturalną fortecą, gdzie się zatrzymało panowanie Synów Nieba. Kto jest panem tej fortecy, ten rządzi całemi Chinami południowemi, doliną Jang-tse i górnemi biegami wszystkich wielkich rzek południowych. Ztąd znaczenie Junnanu zarówno z punktu widzenia politycznego i militarnego, jak handlowego. Gdyby on wpadł w ręce któregokolwiek z mocarstw europejskich, całe bezpieczeństwo Tonkinu tudzież jego znaczenie zniknęłyby odrazu: wstrzymanoby mu oddech. Prócz tego Junnan jest krajem o wielkich bogactwach naturalnych, o klimacie łagodnym i zdrowym. Jego położenie przy zejściu się dróg eksploatacyi angielskiej i francuskiej czyni „kwestyę“ Junnanu jednę z najpoważniejszych w polityce azyatyckiej. W tej chwili Francya rozporządza wszystkiemi głównemi drogami przenikania do Junnanu: posiada dobre sąsiedztwo: Tonkin, pobudowała koleje, otrzymała od rządu chińskiego poważne gwarancye.

Wreszcie izba paryska zawotowała znaczne kredyty na koleje, ułatwienie zaś komunikacyi będzie miało znaczenie nietylko polityczne. Te bogate prowincye mogą się rozwinąć ekonomicznie w sposób niesłychany.

Dlatego też mężowie stanu angielscy mają nieustannie zwróconą uwagę na południe Chin, obiecujące więcej pod względem ekonomicznym, niż północ, równie dużo pod względem politycznym, jak ta ostatnia, a opinia publiczna, wyrażająca się w interpelacyach sejmowych, domaga się szczegółowego wyjaśniania biegu wypadków, chwilowo zresztą niezbyt przyjaznych dla Wielkiej Brytanii. Komunikat np. „Agencyi Havas'a“ z 17 grudnia r. z. doniósł o nowych powodzeniach Francyi na południu Chin.

Lecz punkt ciężkości prawdziwych Chin z ich milionami ludności i niewyczerpanemi zasobami naturalnemi nie tkwi ani w płaskowzgórzach Junnanu, ani w górskiej plątaninie Kuang-si. Ośrodkiem handlu i ludności, punktem węzłowym wielkich dróg naturalnych jest dolina Jang-tse, Seczuen. Anglicy rozumieją, że opanować Seczuen, to nietylko mieć do swego rozporządzenia produkcyę niezmierzoną i miliony spożywców. Być może, że marzą oni o połączeniu tej prowincyi z Birmanią i Indyami — po przez góry — i utworzeniu od ujść rzeki błękitnej aż do Adenu i Ceylonu wielkiej Azyi angielskiej! Trudności techniczne są niemal nieprzezwyciężone, Anglicy wszakże umieją największe przełamywać. Nowy wicekról Indyi, lord Curzon, od pierwszych dni swej nominacyi popychał naprzód sprawę kolei birmańskich. Rozpoczyna się olbrzymia praca nad uczynieniem z rzeki Błękitnej drugiego Nilu, z Szanghaju drugiej Aleksandryi. Lord Beresford nawet namawiał rząd do okupacyi doliny Jang-tse. Gdyby to się stało, Chiny dostałyby się w ręce angielskie... Tymczasem otrzymano deklaracyę Tsung-li-Yamenu co do tej prowincyi taką samą, jaką Francya wymogła dla Junnanu, Kuang-tungu i Kuang-si: ona ma pozostać nazawsze „nietykalną.“

Opanowanie doliny Jang-tse jest dla handlu angielskiego warunkiem nieodzownym, bo już obecnie konkurencya Japonii i Stanów staje się zastraszającą, niepodobna zaś prowadzić w cudzym kraju wobec towarów współzawodniczących polityki „zamkniętych drzwi.“

Tak więc dwa tylko państwa posiadają dogodne i poważne sąsiedztwa terytoryalne z niezmierzonemi obszarami Państwa Niebieskiego: Rosya i Francya; jednego tylko polityka jest szybka, energiczna, zakreślona wielkiemi liniami i zdążająca niemal rewolucyjnemi środkami do rozwiązania „kwestyi dalekiego Wschodu“ — polityka Wielkiej Brytanii. Niemcy wprawdzie okazują tę samą tendencyę, natarczywość ich jest może nawet większa, ale siły mogą nie sprostać olbrzymiemu zadaniu. Inne państwa, jak się rzekło, wolałyby czekać. Szczególnie stosuje się to do Japonii, której akcya powolna, lecz systematyczna, głęboka, bo jednocześnie kulturalna, obiecuje najdonioślejsze skutki w przyszłości.

Gdy takie jest położenie rzeczy, coraz widoczniejszem się staje, że daleki Wschód jest ogniskiem potężnych inte-

resów politycznych, których plątaninę wypadki obecne jeszcze zwiększają. Dlatego można wierzyć szczerości ubolewań gabinetów nad tragicznym zgonem garści misyonarzy, przyśpieszającym nadejście tajemniczego i niewiadomego jutra.

B. Koskowski.

Z TYGODNIA.

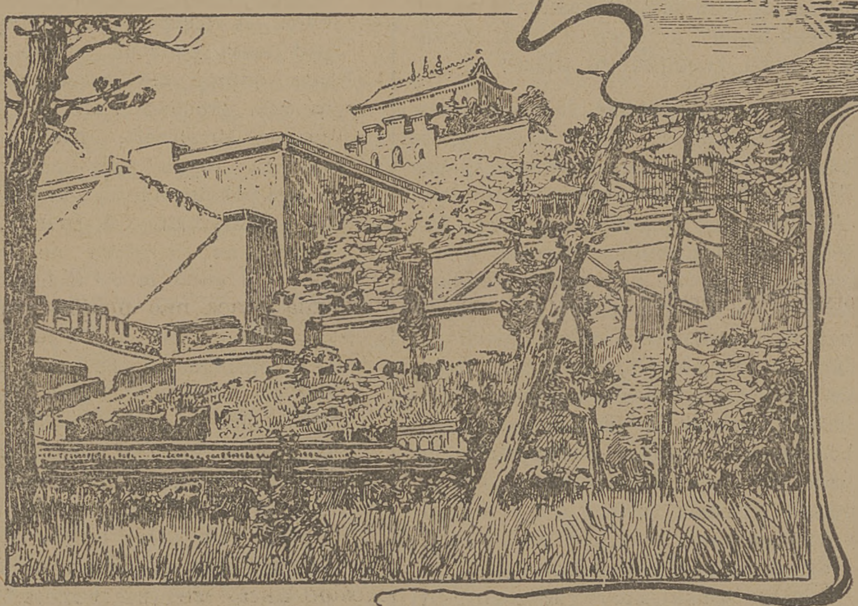
Jakkolwiek nie została jeszcze oficyalnie wypowiedziana Chinom wojna i posłowie chińscy bawią na swoich stanowiskach w Europie, faktycznie jednak istnieje stan wojenny, którego najlepszym wyrazem jest wysłanie wojennej eskardy niemieckiej do Chin. Jeden z dyplomatów niemieckich wymienił już nawet warunki, na których Niemcy gotowi są zgodzić się na pokój. Warunki te są bardzo skromne: Chodziłoby tu o oddanie fortów Taku i Tientsinu w ręce niemieckie. Jak wiadomo, Taku i Tientsin stanowią jakgdyby przedsionek, prowadzący od morza do Pekinu. Rząd chiński umocnił niedawno fortyfikacye w zatoce Taku i udoskonalił w działa systemu Kruppa. W tej zatoce przebywają okręty eskardy międzynarodowej. Tientsin zaś jest dużem miastem, które liczy około miljona mieszkańców. Ogniskuje się tu handel z czterech prowincyi. Punkt ten pośredniczy więc we wszystkich stosunkach handlowych z wnętrzem Chin. Kraj niezmiernie bogaty, choć niezbyt piękny. Tientsin połączony jest koleją żelazną z kilku innymi punktami.

Pozatem żądają Niemcy, aby w Pekinie zaprowadzoną była europejska (czytaj: pruska) policya, która ma obsadzić całą drogę od ulicy ambasad aż do dworca kolejowego (na przestrzeni $^1/_4$ obszaru Pekinu). Prócz policyi i oddział wojsk europejskich ma się rozgościć w stolicy państwa „niebieskiego". Dla żołnierzy europejskich kosztem rządu chińskiego mają być pobudowane osobne koszary i fortyfikacye. Kolej elektryczna od dworca do ulicy ambasad ma być wybudowana i zarządzana przez Niemców.

Jak z tego widzimy „skromne" żądania stawiają panowie Niemcy.

Kto wie jednak czy nieco nie zawcześnie?





Pałac letni cesarzowej chińskiej w Pekinie oraz most Lo-kro-tsze-tchias.

Dotychczas brak pewnych wiadomości o stanie rzeczy w Pekinie.

Krążą wieści, że na czele powstania stanął stryj obecnego cesarza książę Tuan i całą władzę zagarnął w swe ręce a cesarza i cesarzową zdetronizował. Twierdzą nawet, że cesarz już nie żyje. Bezpośrednio po 18 czerwca rozpoczęło się oblężenie ambasady angielskiej, mianowicie gdy po zabiciu posła niemieckiego marynarze niemieccy w odwecie podpalili największy budynek chiński, co wprowadziło we wściekłość cały lud Pekinu. Dnia 29 czerwca przyszła wiadomość, że Europejczycy ostatkiem sił trzymają się jeszcze. Lecz odsiecz pod wodzą Seymoura nie dostała się do Pekinu a oddział Rosyan złożony z 3-ch tysięcy ludzi został doszczętnie zniesiony w drodze pomiędzy Tientsinem a Pekinem tak, że zupełnie niewiadomo co się z nim stało. Poseł rosyjski podobno też został zamordowany, lecz rząd rosyjski oficyal nie o tem nie pisze.

Dnia 3 lipca uchodziło za rzecz pewną, że wszyscy Europejczycy zostali wymordowani, ale obecnie znów rozsyła pewien wicekról chiński wiadomość z Pekinu, że prócz niemieckiego posła żaden inny życiem nie przepłacił wybuchu powstania.

Potwierdzenie tej wiadomości otrzymała też pewna firma angielska, a mianowicie, że jeszcze 6 lipca byli przy życiu Europejczycy. Na razie jednak o odsieczy niema mowy, bo przed Pekinem stoi trzydziestotysięczna armia chińska. W ostatnich dniach donosiły telegramy, że wicekról Tching z wojskiem wtargnął do Pekinu, bokserów zwalczył i Europejczyków uwolnił.

Z chwilą otwarcia drogi żelaznej syberyjskiej Syberya stała się krajem, w którym handel ożywia się coraz bardziej i cywilizacya szybko się wzmaga. Odczuwano teraz też coraz bardziej tę klęskę, że rząd zsyłał przestępców i zbrodniarzy wszelkiego rodzaju do okolic zaludniających się pracowitą i spokojną ludnością, z tego powodu też wydany został obecnie cesarski ukaz, na mocy którego zostaje zniesioną deportacya na Sybir, o ile była przewidziana jako kara, wymierzana przez wyroki sądowe.

Tak zwane osiedlenie włościan i mieszczan, których po odbyciu przez nich w domach poprawnych, nie chciały gminy ich przyjąć napowrót, ustało zupełnie. Dla wielu przestępców pozbawienie wszelkich praw i zesłanie na Sybir będzie obecnie zastąpione pozbawieniem wszelkich specyalnych praw, osobiście i z mocy pochodzenia nabytych oraz zamknięciem na czas pewien w oddziałach aresztanckich. Tym sposobem nowa ustawa znosi zupełnie t. zw. śmierć cywilną, t. j. pozbawienie wszelkich praw osobistych.

Prawo powyższe ma szczególniejszą wagę dla Syberyi, która teraz może się więc zaludniać pracowitymi i spokojnymi ludźmi narówni z innemi prowincyami. Zesłanie na Syberyę pozostaje jednak jeszcze 1) dla osób z wyroków sądu za przestępstwa państwowe, polityczne

i herezye skazanych z decyzyi władz administracyjnych.

To na razie wystarczy — zwłaszcza dla Polaków.

O ważnym wyroku donoszą pisma niemieckie. Oto burmistrz miasteczka Lwówka oświadczył ni ztąd ni zowąd 14-go kwietnia roku zeszłego obywatelowi panu Krygierowi, że on nazywa się „Krüger“ i tak musi się odtąd pisać. Takie polecenie otrzymał pan burmistrz od rejencyi, która zawezwała nawet dozór kościelny lwówecki, aby w książkach kościelnych zamienił nazwisko Krygier na Krüger. Pan Krygier nie pozwolił się jednak zastraszyć i podpisywał się jak dotąd, również i pod protokuły dozoru szkolnego, którego jest członkiem. Przysłano p. Krygierowi mandat karny, przeciwko któremu odwołał się do sądu. Sąd ławniczy skazał p. Krygiera na 30 marek kary. Odwołał się do sądu ziemiańskiego, który zatwierdził wyrok poprzedniej instancyi, powołując się na rozkaz gabinetowy z 15 kwietnia 1822 r. Grozi on karą każdemu, kto bez pozwolenia „zmienia“ swoje nazwisko. Pan Krygier wniósł o rewizyą wyroku. Sprawa dostała się przed senat karny kamergerychtu, który zniósł poprzedni wyrok, uzasadniając wyrok swój tem, że nie można w tym przypadku stosować rozkazu gabinetowego, ponieważ oskarżony nie zmienił swego nazwiska, gdyż nosili je już ojciec jego i dziadek. Przy tej sposobności skarcił senat karny p. burmistrza (a właściwie rejencyą), stwierdził bowiem, że burmistrzowi nie przysługiwało prawo zmienienia dowolnie nazwiska Krygier na Krüger.

K O.

PRZEGLĄD PRASY.

Wiadomo, że po wielu parafiach górnośląskich istnieją towarzystwa śpiewu kościelnego św. Cecylii. Gdzie takie stowarzyszenie zaczyna swoją działalność, tam polscy parafianie zazwyczaj się skarżą, że towarzystwo zaprowadza nowości na niekorzyść lub wprost z uszczerbkiem praw języka polskiego w kościele. Wprawdzie członkowie towarzystw św. Cecylii twierdzą, że do skarg nie ma powodu, ale fakta mówią same za siebie.

Oto niedawno w gazecie **„Oberschlesische Volksstimme“** pojawił się artykuł, który streszczamy poniżej:

„Pewien nauczyciel przedstawił cel takiego towarzystwa św. Cecylii, jakie pragnie mieć w parafii B. Pisze, że rejencya opolska zachęca nauczycieli do pielęgnowania śpiewu niemieckiego po za szkołą, a nawet kazała nauczycielom spisać, co można pod tym względem zdziałać. Ów nauczyciel tłomaczy to tem, że chodzi o germanizacyą przez śpiew. Dlatego (według zdania owego nauczyciela) teraz jest najlepszy oznak, aby założyć towarzystwo św. Cecylii. Niemiecki śpiew kościelny — tak pisze — dla Górnego Śląska bardzo ważny, aby popierać germanizacyą według życzenia rejencyi pruskiej w Opolu.“

Doszło więc do tego, że katolicka niemiecka gazeta zachęca zapomocą owego artykułu do germanizacyi zapomocą kościelnych środków. Powinno to być znamienną przestrogą dla wszystkich Polaków, aby nie czytywali gazet niemieckich, choćby one występowały pod płaszczykiem katolicyzmu jako przyjaciele Polaków. Zastosować tu można do nich, jak wogóle do katolików Niemców, przysłowie: Broń mnie Panie Boże od moich przyjaciół, a od nieprzyjaciół sam się obronię. Tymi oto środkami fałszywej przyjaźni wyrządzają nam katolicy niemieccy największą szkodę nakłaniając się do germanizowania przez kościół.

Jeśli redakcya pisma „katolicko“-niemieckiego ogłasza taką korespondencyę dowodzi ona tem jawnie, że bardziej jej chodzi o germanizowanie Polaków niż o trzymanie się zasad wiary, bo germanizacya sprzeciwiając się przyrodzonemu prawu egzystencyi każdej narodowości, sprzeciwia się tem samem zasadom wiary.

„Dziennik Śląski“ z powodu tych towarzystw śpiewu kościelnego pisze:

„Powiedziano otwarcie, iż celem towarzystw św. Cecylii, które twierdzą, że chodzi im tylko o pielęgnowanie śpiewu kościelnego, ma być także germanizacya!

„Wobec tego parafianie Polacy tem więcej powinni dbać o śpiew polski w kościele i nie pozwolić na to, aby germanizatorskie zachcianki niektórych panów nauczycieli spełnione zostały. Niech parafianie sami śpiewają, niech uczą dzieci śpiewu kościelnego, niech przedewszystkiem nakażą dzieciom, aby chodziły na polskie nabożeństwa niedzielne i świąteczne, na polskie wieczorne nabożeństwa w dni powszednie. Szkoła w tem nic a nic nie ma do rozkazania; rodzicom wolno zabierać dzieci na owe nabożeństwa.

„Gdzieby polski śpiew kościelny był rugowany, tam trzeba o tem pomówić spokojnie i poważnie z miejscowym księdzem proboszczem.

„Najlepiej będzie, skoro dozór kościelny to uczyni; ale może to też ktoś z parafian zrobić, który dobrze wie, jak było dawniej, a jak jest teraz.“

Mamy nadzieję, że i z naszych czytelników każdy będzie się starał na Śląsku otwierać ludowi oczy na niebezpieczeństwo, grożące mu ze strony towarzystw śpiewu kościelnego św. Cecylii.

W ostatnich czasach na Górnym Śląsku zaczęli drobni włościanie polscy pozbywać się gwałtownie swych majętności. Wskutek tego samodzielność gmin wiejskich coraz jest bardziej obcinaną przez władze lokalne administracyjne, ponieważ braknie obywateli zdawna osiadłych a umiejących się upomnieć o swe prawa. Słusznie też na objaw ten zwraca uwagę **„Katolik“**:

„Łagiewniki, powiat bytomski. Smutnie wygląda w naszej wsi samodzielność gminy. Gospodarze obiorą sobie takiego sołtysa, którego uważają za rozumnego i zdatnego i są pewni, że jest w stanie urzędować ku zadowoleniu całej gminy, tymczasem go p. landrat nie potwierdza. To nie jest pierwszy raz, ale to się już działo więcej razy. Podług mego zdania spółka Thiele-Winklerowska (państwo) macza w tem swe palce. Skoro sołtys się państwu nie podoba, to państwo tak się długo otrząsa, aż się otrzęsie z takiego sołtysa. Podług mego zdania, bracia, stańmy jak jeden mąż, abyśmy znowu wybrali tych samych, których my już raz obierali. Powinniśmy mieć takich sołtysów, jakich nam koniecznie jest potrzeba. Nigdy w życiu nie głosowałbym na takiego, o którym bym nie był przekonany, że będzie z nami trzymał i urząd sprawował. Któryby zaś miał z niektórymi panoczkami jeść i pić, o tym ani słyszeć nie chcę.

„Proszę was, byście się tak nie ofiarowali panom z waszemi gruntami i domami i łąkami. Grunt nam nie ucieknie. Zobaczycie, że niejeden w przyszłości chętnieby znowu odebrał ojcowiznę, ale już będzie zapóźno. Oby jeno ci, co tak chętnie sprzedaćby chcieli, nie płakali kiedy nad swoją dolą pod batem tego lub owego panoczka, jak już przed nami się to niejednemu działo. Gdy nastała wolność, to dopiero lud lekko oddychał i miał utrzymanie na swoim gruncie i dobrze mu było. A teraz się niektórzy poddajecie pod takie podobne jarzmo niewoli. Są tacy, którzy nie patrzą, jakby najlepiej w roli pracować, ale rolę sprzedawać pragną koniecznie, choć nie potrzebują, aby za owych parę marek żyć. Czy dalsze pokolenia będą miały jaką własność, albo jakie oparcie w świecie, o tem niektórym ani do głowy nie przyjdzie, byleby oni mieli za co w bilard grać. Nie dbają o to, że drugich, swoją rodzinę do niewoli wciskają. Po sprzedaży, bracia, to niejednemu może nic nie pozostanie, jak się kilofa albo łopaty chwycić. Pamiętajcież, skoroby średni gospodarski stan miał zaginąć, wtenczas będzie niedobrze dla naszych potomków. Skoro nie będzie nikogo innego, jak milioner i ubogi lud, który będzie udręczony tak, że sobie żaden sam nie będzie mógł pomódz, to wtenczas będzie narzekania na tych, którzy się bez potrzeby i łatwo pozbyli naszej ukochanej ziemi ojczystej, którą nasi praojcowie swoim krwawym potem zdobyli, gdy przez Pana Boga zasiane lasy wykarczowali a potem urodzajną i żyzną glebę z nich uczynili.“

Gdy się czyta te bezpretensyonalne a tak wierne uwagi, mimowoli przychodzi na myśl sprawa tak zawodowo niemal uprawianej przez obywateli w Poznańskiem sprzedaży majątków w ręce niemieckie, a obok tego — środki wyjątkowe zapomocą których ma podobno rząd zamiar zmniejszyć stan posiadania naszej drobnej własności ziemskiej. Ileż to więc sił wrogich zagięło parol na istnienie nasze! O wykupywaniu drobnej własności polskiej pisze **„Gazeta Gdańska“**:

„Oto jeden z projektów, które się urodziły w głowach hakatystów i podobno przyjęte zostały przez koła wpływowe.

„Chodzi o to, żeby Polacy nie mogli nabywać nietylko folwarków, lecz także mniejszych gospodarstw. W tym celu zarząd domen królewskich ma otrzymać odpowiednie zasoby gotówki. Jeżeli gdzieś jakie gospodarstwo pójdzie na sprzedaż z wolnej ręki, lub przez licytacyę, zjawią się zaraz pełnomocnicy zarządu do

men królewskich, aby gospodarstwo nabyć. Czerpiąc z kasy publicznej będą oczywiście mogli lepiej płacić, niż nabywcy prywatni, obowiązani ponosić różne ciężary, których nie zna zarząd domen królewskich.

„Ponieważ już komisyi kolonizacyjnej trudno o nabywców parcel, przeto zarząd domen królewskich nie będzie nabytych gospodarstw sprzedawał, tylko odda je Niemcom w dzierżawę. Jeżeli więc Polacy rolnicy będą źle gospodarowali, to z czasem wszystka ziemia przejdzie w ręce rządu, a Polacy katolicy będą u Niemców protestantów źle płatnymi parobkami, bo i wędrówki za robotą mają utrudnić.

„Niechże tedy gospodarze polscy starają się jak najwięcej wydobyć z ziemi przez gospodarstwo postępowe, niech żyją oszczędnie, nie bawiąc się w panów, aby nie byli zmuszeni sprzedawać gospodarstwa, niech dzieci chowają tak, aby nie utraciły ojcowizny i nie popadły w niewolę, jakąby niektórzy ludzie chcieli zgotować tym wszystkim, którzy nie posiadają własności.“

Sprawę wykupywania wielkiej własności ziemskiej poruszymy jeszcze przy sposobności omówienia ciekawej — a smutnej — statystyki odnośnej z powiatów gnieźnieńskiego i witkowskiego.

Z kwestyi będących na czasie warto zanotować głos pisemka ludowego lwowskiego „Zorzy“ o niesmacznem postąpieniu rektora, jakie zaciężyło nad jubileuszem wszechnicy Jagiellońskiej. Mamy na myśli odrzucenie daru Ślązaków.

„O jednym fakcie zamilczeć nie wolno: Oto i bracia Ślązacy z Górnego Ślązka, co pozostaje pod Prusakiem, przywieźli dar Wszechnicy krakowskiej. Chcieli przez to powiedzieć, że choć oderwani od Matki ojczyzny przed sześciu wiekami, pozostali Jej wierni — chcieli powiedzieć, że choć na Niemców przerobić ich radzi, oni w piersi zachowali duszę — polską! To też i dar ich był wymowny: figura Władysława Jagiełły na wysokiej podstawie, wyrobiona z materyału, dobytego z łona ziemi śląskiej. — Lecz cóż się stało? — Hrabia Tarnowski, rektor wszechnicy, daru tego nie przyjął, aby nie rozgniewać przypadkiem Prusaków... O Bracia Ślązacy, którzy czytać będziecie te słowa, nie bierzcie tej krzywdy do serca. Wyrządził ją wam jeden człowiek, za którym naród nie stoi. Naród polski inaczej myśli, inaczej czuje. On dziękowałby Wam, Bracia, okrzykiem szczęścia i łzą rozrzewnienia — on przygarnąłby Was do piersi, jako najdroższych, bo odzyskanych... A nawet smucić się nie macie powodu, bo wieść o Waszym darze pójdzie przez ziemie polskie, jako dobra nowina, radując ludzi i krzepiąc. A jakiem echem głośnem odbije się ta wieść od ciemnych puszcz Litwy, ziemi Jagielonów!...“

Myśmy swego czasu już o tej sprawie nasze zdanie wypowiedzieli. Zawiera się ono w jednem słowie: *Skandal!*

B. M.

Korespondencya specyalna „Pracy.“

Z kół inteligencyi polskiej we Wrocławiu otrzymujemy następującą korespondencyę:

Wrocław, w lipcu 1900.

We wszystkich dzielnicach Prus Zachodnich, Księstwa Poznańskiego i Górnego Ślązka mamy organa służące politycznym, ekonomicznym i społecznym naszym potrzebom. W ostatnim czasie pojawiają się poniekąd nawet dwie gazety polskie w jednym powiecie (tak np. w trzczewskim: „Gazeta Trzczewska“ i w Pelplinie „Pielgrzym“). O ile ten objaw w obecnych naszych stosunkach jest dodatni lub nie, nie na tem miejscu wypada mówić. Zaznaczam tylko tyle, że prasa w zbyt małym obrębie konkurencyi sobie tworzyć nie powinna, tem bardziej, że w zaborze pruskim mamy jeszcze dzielnice bez żadnego organu politycznego, którego to by zadaniem było: *zrozumieć stosunki konkretne, do rzeczywistych potrzeb zastosowane.* Zadziwiającem jest, że pracownicy nasi na niwie publicznej, niestrudzenie wytężający swe siły nad podźwignięciem sprawy narodowej, dotychczas jeszcze na seryo swej uwagi nie zwrócili na pole, leżące precz jeszcze odłogiem — na Ślązk Dolny.

Wrocław, stolica Dolnego Ślązka, niegdyś gród polski choć pod wpływem niemieckiej kolonizacyi doszczętnemu zniemczeniu uległszy, zachowuje do dziś dnia niezmazalne piętno swego pochodzenia. Rozejrzyjmy się tylko między obywatelstwem miasta; nazwiska — rzeczywista bez przesady przynajmniej połowa brzmienia słowiańskiego, jeżeli nie polskiego, to czeskiego — wymownie nas pouczą, jakie dawniej tu tętno biło. Dziś zupełnie inaczej. Gdzieś niegdzieś napotka się resztki dawnego życia, które wszedłszy przed potopem przemożnej germanizacyi utrzymuje się tylko słabo grożąc zupełnym zanikiem pod naciskiem coraz bardziej panoszącego się wpływu niemczyzny. I jak ma się tu iskierka życia polskiego zachować — kiedy tu brak rozniecającego ogniska? Dziwi mię bardzo, że tu w Wrocławiu w mieście uniwersyteckiem, gdzie zawsze przebywa około 100 akademików Polaków, gdzie wykłada się literatury słowiańskie, gdzie istnieje towarzystwo „Sokół“, w mieście liczącym 10,000 mieszkańców Polaków, między nimi kilka familii zamożnych, choć już tylko dla materyalnie praktycznych względów, nie ma księgarni polskiej. Że wobec takich warunków i gazeta polska istnieć powinna rozumie się chyba samo przez się. Księgarnia połączona z redakcyą gazety miałaby tem lepszą i tem mocniej zapewnioną egzystencyą.

Na pierwszem miejscu mogłaby liczyć na pewną podporę akademików i ich współpracownictwo. Pismo polskie w łączności z młodzieżą akademicką mogłoby rokować najświetniejsze nadzieje i chlubnie się zaznaczyć w historyi rozwoju społeczeństwa dolnośląskiego. Pierwszem atoli najtrudniejszem i arcyważnem zadaniem gazety byłoby: rozbudzić głęboko już uśpione uczucie narodowości między tutejszem polskiem mieszczaństwem. Serce boleje na widok w oczach szerzącej się germanizacyi. W dowód tego smutnego objawu przytoczę tylko szczegóły: Częstokroć zdarzyło mnie się widzieć w kościele ojca lub matkę modlących się z książki polskiej, tuż obok ich dzieci z — niemieckiej! Znam familie, gdzie obojga rodzice pochodzenia polskiego i władający po polsku, w gronie familijnem używają wyłącznie języka niemieckiego. Dzieci skutkiem takiego postępowania pozbawione dzwięku mowy ojczystej, koniecznie muszą się wykierować na Niemców tem więcej, iż nie doznawszy w domu rodzicielskim karmu i ciepła polskiej mowy i polskiego czucia, w szkole słyszą jedynie o zbawienności języka niemieckiego i niemieckich uczuć.

Drugiem zadaniem gazety byłoby: szczere zajęcie się polskością, porozrzucaną na Dolnym Ślązku oraz rozbudzeniem w niej ducha narodowego i świadomości politycznej: na pograniczu poznańsko-ślązkiem i okolicy Wrocławia, gdzie na wioskach mamy wiele ludności polskiej stale zamieszkałej lub przebywającej na robocie z Galicyi i z Księstwa.

Mam jeszcze drugą propozycyą idącą z pierwszą ręka w rękę.

Z boleścią i zgryzotą w sercu czyta się, iż tylu w Księstwie pozbywa się lekkomyślnie nietylko ziemi ojczystej sprzedając ją na kolonizacyą niemiecką, ale może nawet jeszcze co ważniejsza, zaprzepaszcza nierozważnie tysiące ludu polskiego, tego jeszcze zdrowego pnia naszego społeczeństwa, rugując go z ziemi ściśle z nim zrosłej a tak kochanej i zmuszając go do wychodźtwa. Wielu między temi „kolonizatorami“ chce się tłumaczyć niby to łagodzącemi i uniewinniającemi „okolicznościami“ wstydząc się stać pod pręgierzem opinii publicznej. „Dziennik Poznański“ daje tym ostatnim zbawienną radę, którą nie zawadzi jeszcze raz dosłownie powtórzyć: „Skoro się zawiniło, trzeba winę zmazać, zanim można odzyskać cześć i uszanowanie społeczeństwa. A zmazać ją można jedynie przez to, że winny, co sprzedał majątek w niemieckie ręce, inny z niemieckich rąk wykupi, i postara się o uniknięcie okoliczności, któreby go znów do sprzedaży ziemi nabytej zmusiły, bo to wyglądać może na spekulacyą i frymarczenie ziemią. W takim razie niewątpliwie opinia wróci mu prawo obywatelskie i uważać go będzie za obywatela lepszej czci.“

Radę powyższą jakby mnie z serca wypisaną chciałbym tylko jeszcze uzupełnić wskazówką, jak i gdzie najlepiej nadawało by się plamę tę i winę zmazać. Oto ziemia dolnoślązka, ziemia Włastów, prawdziwy ogród obfitości między ziemiami kresów wschodnich, odznaczająca się dziwną pięknością, urodzajnością i bogactwem, czeka tylko, iżby jaki nabywca Polak kupił jaki skraj z rąk niemieckich i zaludnił go ludem swoim, ludem polskim. „Kolonizatorzy“ wykupiwszy tu majątek z rąk niemieckich i osiedliwszy tu lud z Poznańskiego wyrugowany, nie zmazaliby tylko plamę swego imienia, ale otoczyliby się blaskiem zasługi tworząc tutaj jakoby przeciwwagę przeciw zakusom kolonizatorsko-hakatystycznym w Księstwie. Wogóle jak najbardziej zalecenia godnem, iżby nasi nabywcy ziemi zwrócili na Dolny Śląsk swą uwagę.

A. Wr.

Głosy od Przyjaciół.

Baden-Baden, w końcu czerwca.

Szanowna Redakcyo!

Szanowna Redakcya mi pozwoli, że ja Wasz 2-letni czytelnik, kilka słów do Was napiszę.

Jestem z zawodu ogrodnikiem i jako taki pracowałem i praktykowałem przez 7 lat w Niemczech, gdzie zawsze miałem w zawodzie wielkie szczęście. Teraz jestem tu od półtora roku w wielkoksiążęcym ogrodzie zatrudniony, zkąd pierwszego lipca w inne miejsce pod Paryż wyjeżdżam. Muszę Szanownej Redakcyi otwarcie przyznać, że gdyby nie „Praca“ którą pilnie czytam, to bym się dawno zgermanizował albo przynajmniej dla polskiej sprawy zupełnie zobojętniał, ale Polak, który z uwagą każdy numer „Pracy“ czyta, zgermanizować się nie może, chociażby był zmuszony w morzu niemieckości przez całe życie pracować. Z tej przyczyny się „Pracy“ największe uznanie i pierwsze miejsce z gazet poznańskich należy. Jak już wzmiankowałem, wyjeżdżam 1 lipca do Paryża, a z powodu, że tam dla cudzoziemca początkowo jest byt bardzo drogi i trudny, ja zaś praktykuję bez wszelkiej obcej pomocy, nawet rodziców wspierać muszę, więc zmuszony jestem zaprzestać abonować inne gazety; „Pracy“ naturalnie nigdy nie opuszczę, chociażby nawet ciężkie czasy na mnie spaść miały, i tak niżej podaję mój adres do Paryża i proszę mi od 1 lipca „Pracę“ tam dotąd posyłać.

Z wielkiem oburzeniem przeczytałem, że Wasz odpowiedzialny redaktor, p. Władysław Siemiątkowski został za artykuł „Lojalni i wierni poddani“ na 2 miesiące więzienia skazany. Zasyłam p. W. Siemiątkowskiemu moje najgłębsze współczucie; niech Prusacy polskie gazety dalej tak prześladują, a przez to Polaków, wszystkich bez wyjątku pod sztandar narodowy zgromadzą!

Kto jest temu winien, że p. Siemiątkowski, na 2 miesiące więzienia jest skazany? Czy rząd, komisya kolonizacyjna, albo — HKT.? O nie! Rodacy nasi, którzy raczej na miano najgorszych zdrajców zasługują, sprzedawczyki są temu winni, bo gdy by nie ci zdrajcy, nie miała by kolonizacya bytu, a przez to by jej nikt obrazić nie mógł, więc wstyd i hańba sprzedawczykom! Możeby było dobrze, aby „Praca“ raz po raz dla nich kilka arkuszy ofiarowała i nazwiska ich wypisała, aby każdy Polak listę sprzedawczyków znał jak „Ojcze nasz“. — W końcu życzę „Pracy“ nie 12-tu, ale co najmniej 20-tu tysięcy abonentów.

Bolesław Hoffmann.

á Celle Saint — Cloud près Paris.

Pod Grunwaldem.

Dnia 15 Lipca 1410 r.

...„Lecz nic nie zgładzi dnia tego pamiątki!“
I. U. Niemcewicz.

Uchyl zasłony, wiekowa przeszłości!
Błyśnij promieniem w potomków oblicza!
Niechaj się w twojej rozjaśnią świetności,
Serca rozgrzeje ciepło twego Żnicza!
Smutneż-bo twarze twej polskiej krajiny,
Serca więdnieją boleścią szarpane,
Wielkich swych ojców posmutniałe syny,
Niech rzeźwią czyny ich niezapomniane!



Michał Sozański.

Pięć wieków prawie dobiega do granic,
Jak butny Krzyżak, łupieżca nadęty,
Polskę napada, nie zważając na nic,
Popełnia zbrodnie, nie dba na ślub święty!
Że lud w rozpaczy i przejęty trwogą,
Nie mógł zasypiać pod swym własnym [dachem!

Kiedy ich zbrodnie przechylają szalę,
Drwiąc z cierpliwości Polski z Litwą razem,
Król, choć do wojny nie był skory wcale,
Tu postanowił skarcić ich żelazem.
Więc pospieszyły gońce na wsze strony,
Listy roznosząc z zapowiedzią wojny,
Aby się zebrał do kraju obrony,
Polski i Litwy rycerski stan zbrojny.

Szumią proporce, chorągwie łopocą,
W strony Krzyżaków rycerstwo zwrócone,
Żwawo pospiesza tak dniami jak nocą,
Choć słońce piecze, twarze okurzone!
Już Witołd Litwę przez Narew przeprawia,
Jagiełło Wisłę w Czerwińsku przebywa;
Tu biskup płocki do wojska przemawia,
Rozświeca sprawę i zapał rozgrzywa.

Sunie rycerstwo wciąż dalej a dalej,
W krę już przebywa, gdzie szyki sprawuje,
Tu się na chwilkę wszyscy zatrzymali,
W twarzy Jagiełły rzewność się maluje,
Ujął chorągiew z Ojczyzny godłami,
Gdzie na szkarłacie błyszczy orzeł biały,
A wznosząc w górę, takiemi modłami
Błaga niebiosa, by zwycięstwo dały:



Kat Diederich (z Krzyżaków).
(Malował M. Sozański.)

Kłamie przed władzą, dopuszcza się zdrady,
A pod płaszczykiem apostolstwa swego
Zbójeckie w koło odbywa napady,
Mając rycerzy ze świata całego.

W Polsce panował Władysław Jagiełło,
Co Litwę przywiódł do Chrystusa wiary,
Bez krwi rozlewu wiekopomne dzieło,
Jakiego nigdy nie zaznał świat stary!
A nie jak Krzyżak, co mieczem, pożogą
Szydził z Chrystusa a napawał strachem,

„Najdobrotliwszy Boże nasz i Panie!
Co tajnie serca przenikasz przed czasem!
Ty wiesz najlepiej, że to wojowanie
Wróg nasz z bezwstydnym wywołał hałasem.
Wznoszę chorągiew w Twem, Chryste, [imieniu!
Gdy wróg me chęci zniszczył pokojowe,
Niech skutki na ich zaciężą sumieniu!
A krew przelana na ich spadnie głowę!“

Rycerstwo temi słowy rozrzewnione,

Nabiera wiary, rozpogadza lica,
A świętą sprawą w zapał uniesione,
Zaczęło śpiewać pieśń: „Boga-Rodzica!“
I rusza dalej po nad Drwęcy brzegi,
Gdzie stawa tabor pod Kurzętnikami;
Tu, po tej stronie, to nasze szeregi,
A zaś brzeg drugi zaległ Krzyżakami.

Ztąd król śle posły, by w drodze pokoju
Sprawę załatwić, lecz butne Krzyżaki,
Pewne zwycięztwa pragną krwi i boju,
By po Polakach znikł i ślad wszelaki!
Ponieważ brzegi nabito palami,
Przez co przeprawa była utrudnioną,
Ruszono dalej, aby z Krzyżakami
Sprawa gdzie indziej była załatwioną.

Obóz rozbito pod bokiem Dąbrowna,
Które zdobyli Lipca trzynastego;
Wzięła Krzyżaków ztąd złość niewymowna,
Chcą Polskę, Litwę zniszczyć do jednego!
Pod Tannenbergiem wstrzymała się razem,
W zbroje zakuta Krzyżaków nawała,
By nas w proch zetrzyć morderczem żelazem.
Polska zaś z Litwą pod Grunwaldem stała.

Szyki krzyżackie w pogotowiu stały;
Coś ośmdziesiąt i tak z trzy tysiące,
Od Tannenberga wdłuż się rozciągały,
Pod Grunwald sięgły ich zbroje błyszczące.
Wszystko dyszące mordem i łupieżą,
Innego celu nie było w ich duszy!
Dumni w swej sile w zwycięztwo więc wierzą,
I nic sumienia ich też nie poruszy. —

Zyndram z Maszkowic Polaków szykuje,
A pod Witoldem Litwy bojownicy;
Wszystko rozkazu tylko oczekuje,
Lecz król pobożny modli się w kaplicy.
Wreszcie wychodzi, bułanka dosiada,
Wojsko ogląda, do boju zagrzewa,
Rozkaz wydaje i znów się spowiada,
Raz się zasmuca, to znów się spodziewa...

Kiedy już wszystko do boju gotowe,
Duma Krzyżaków w szyderstwo się wdaje,
— Czyni tak i dziś, jak i w czasy owe —
Bo przed Jagiełłą dwóch heroldów staje:
Nieśli dwa miecze niezwykłej długości
I rzekli hardo: „Mistrz swoje śle sługi
I te dwa miecze dla lepszej śmiałości,
Jeden dla Ciebie, dla Witolda drugi!“

Jagiełło ze łzą w źrenicy odpowie:
„Mam mieczów dosyć, tych nie potrzebuję!
Ale że sprawy tej słuszność nie w mowie,
Więc choć od wrogów, ale je przyjmuję.
Bóg jako *omen* was mi to przysyła,
Boć *zwyciężony* tylko miecz oddaje!
W jego pomocy złożona ma siła,
Z spokojem przeto do rozprawy staję.“
Polskie zastępy naprózno czekały
Zaczęcia walki ze strony Krzyżaków,
Więc król dał rozkaz, by trąby zagrały,
Co było hasłem do walki Polaków.
Król przebiegł szyki wzywając do boju —
Wszystko gotowe, spuszczona przyłbica!
Duch rwie się śmiało do krwawego znoju,
Piersi zagrzmiały wtór: „Boga-Rodzica!“

Ruszą z kopyta na wraże zastępy,
Witolda Litwa wprzód się wydobywa,
Ztrzasły się szyki, posypały strzępy,
Pękają kopie, wszędzie krew już spływa,
Krzyk niesłychany, szczęk broni do koła,
A wszędzie bój wre straszliwy, zacięty,
Już szyk Litwinów, co stawili czoła,
Siłą złamany i z pola zepchnięty.

Witold przybywa i żąda poparcia,
A wróg tuż za nim, wre walka gorąca!
Napad gwałtowny, tak że wśród natarcia
Chorągiew państwa na ziemię wytrąca.
Skoczą Polacy, chorągiew podnoszą,
A wstyd ich zapał potęgą rozżarza!
W świętym rozmachu Krzyżaków znów płoszą,
Każdy tnie wroga, już na nic nie zważa!

A wśród krwawego tego zamieszania,
Co i Jagiełły ogarnia żołnierza,
I króla nawet samego odsłania,
Napadł nań Krzyżak i bronią weń zmierza.
Król odparł kopią, lecz Krzyżak zuchwały,
W ślepym zapędzie powtóre uderza!
Widzi to młody Oleśnicki śmiały,
Skoczył i drzewcem obala rycerza.

Tak zwalonemu spada szyszak z głowy,
Król kopią sięga i skroń mu przeszywa,
Inni dobili — zdarli do połowy —
I to Jagiełłę z grozy wydobywa.
Rycerz ten Dypold Kökeritz się zowie,
I aż w Luzacyi wmięszał się w Krzyżaki,
Czarną miał zbroję, biały hełm na głowie,
Pręgę złocistą — wyższości oznaki.

Znów świeże hufce wysłano Krzyżaków
Tętnią szalenie, włóczniami zjeżone,
Myślą tym pędem stratować Polaków,
Ale z swych koni zostały zwalone!
Polacy żwawo w okół ich otoczą,
Rąbią mieczami, aż zbroje pękają!
Krzyżacy strasznie w krwi swojej już broczą,
A w małej reszcie z strachem uciekają!

Na całej linii złamani wrogowie,
Zalegli pola, gdzie hardzi wprzód stali!
Tam pozostali we większej połowie,
Doznawszy polskiej ręki i jej stali.
Następnie resztki ich dalej goniono,
Brano w niewolą, albo też wybito,
Poczem o obóz jeszcze bój stoczono,
Który ze wszystkiem i całkiem zdobyto.

W obozie wielkie zapasy odkryto,
Wszelkie przyrządy celem podpalania,
Moc beczek z winem, ale te rozbito,
Fury łańcuszków do rąk krępowania!
Wszystko to było naocznym dowodem,
Jakiego losu byliby doznali
Kraj Polski, Litwy z ich całym narodem,
Gdyby tę bitwę byli — och! przegrali....

Padło tam wroga czterdzieści tysięcy,
I również tyle do niewoli wzięto,
Tych — i cóż żądać już od losu więcej!
Ramiona w własne łańcuszki zapięto!
Dowódzców wrażych li trzech ocalało,
Zabitym został także i mistrz wielki,
A zaś chorągwi Polsce się dostało
Pięćdziesiąt jedna — i rynsztunek wszelki.

Dnia następnego, gdy król ujrzał zwłoki
Wielkiego mistrza, żal go wziął serdeczny...
Pozwolił nawet, ażeby bez zwłoki
Ciało odwieźli na spoczynek wieczny
Aż do Malborga, Krzyżaków stolicy.
Sprawę król z ludem nabożeństwem święci,
Składa zdobyte chorągwie w świątnicy
Bogu ku chwale i wiecznej pamięci.

Stało się! Duma Krzyżaków złamana,
Legła pod stopy wielkich ojców naszych!
Buta przebrzydła srodze pokarana,
Co mord, pożogę do przybytków laszych
Ponieść myślała!
Czas szybko się toczy:
My dzisiaj kroczym po krzemiennym torze...
Serce skrwawione... załzawione oczy...
O, wspomnij na nas, ojców naszych Boże!...

Szczęsny Ostoja.

Lipiec, 1900 r.

Tadeusz Kościuszko.

Dokończenie.

Oto jego list do hr. de Segur:

„Paryż 20. brumaire r. XII.
31. października 1803.

Panie Hrabio. Ignorancya, albo zła wiara uwzięła się, żeby wkładać w moje usta słowa „finis Poloniae“, które miałem jakoby powiedzieć w owym fatalnym dniu nieszczęśliwej batalii pod Maciejowicami. Najpierw, przed końcem batalii byłem niemal śmiertelnie rannym i nie odzyskałem przytomności aż w dwa dni potem i kiedy już byłem w rękach nieprzyjaciela. Potem, jeżeli podobne słowa są nieloiczne i zbrodnicze w ustach każdego Polaka, byłyby tem więcej, takiemi w moich ustach. Naród polski powołując mnie do obrony całości, niepodległości, godności, sławy i wolności ojczyzny, wiedział o tem, że nie byłem ja ostatnim między Polakami, oraz, że moja śmierć na polu bitwy lub gdziekolwiek nie miała, nie mogła być końcem Po'ski. Wszystko, co następnie Polacy czynili, w sławnych legionach polskich, i wszystko, co czynić będą w przyszłości, ażeby odzyskać ojczyznę, dowodzi dostatecznie, że my żołnierze, oddani tej ojczyźnie, my jesteśmy śmiertelnymi, — Polska jest nieśmiertelną i nie wolno nikomu odezwać się, ani powtarzać uwłaczającego okrzyku, „finis Poloniae“.

Cóżby na to powiedzieli Francuzi, gdyby po fatalnej batalii pod Rosbach w r. 1757 marszałek Karol de Rohan, książę de Soubise był wykrzyknął: finis Galliae, lub gdyby w życiorysach wkładano mu w usta te słowa?

Byłbym Panu przeto wielce obowiązany, gdybyś w nowej edycyi dzieła swojego (dekada historyczna) nie mówił już więcej o tem „finis Poloniae“ i mam nadzieję, że powaga pańskiego imienia wstrzyma wszystkich tych, którzyby kiedyś chcieli powtarzać te słowa i mnie przypisywać bluźnierstwo, przeciw któremu z całej mojej duszy protestuję. Racz przyjąć P. Hrabio itd.“

T. Kościuszko“.

Zdarza się jeszcze dzisiaj, że owego „bluźnierstwa“ nadużywają niesumienni autorowie; więc dokumentny protest Kościuszki należało tutaj zamieścić, jako

odparcie bluźnierstwa, oraz jako dopełnienie obrazu człowieka i patryoty.

* * *

Całe życie i działalność Kościuszki, aż do ostatniego oddechu, to praca około odzyskania ojczyzny, oraz około odrodzenia narodu. Nawet w epoce napoleońskiej, gdy nie było dla niego właściwego miejsca, nie przestał przecież troszczyć się o wszystko, co się w Polsce działo i dopomagać, gdzie tylko po temu widział sposobność. Więc za Księstwa Warszawskiego wypracował szczegółowy i wspaniały plan wyzwolenia i uwłaszczenia włościan bez żadnego społecznego i ekonomicznego przewrotu, ze zachowaniem miary i sprawiedliwości, a nadto z rękojmiami trwałości na przyszłość. Plan ten zawiera pomysły, które i dzisiaj jeszcze, po dokonanem wyzwoleniu i uwłaszczeniu, wobec wielorakiej nędzy społecznej, zasługują na głęboką rozwagę. Obmyślał on bowiem sposoby (rodzaj loteryi), ażeby chłop zawsze utrzymał się przy ziemi, oraz żeby bezrolni mogli dochodzić do posiadania ziemi i gospodarstw.

Zajmował się również Kościuszko w tym czasie pracą około podniesienia w Polce przemysłu i dobrobytu przez ułatwianie handlu. Mówił on wtedy: im nieszczęśliwszym jest człowiek, tem bardziej szuka pociechy w myśleniu o tem, co kocha.

Nad takiemi zadaniami przemyśliwał w starości ten wielkoduszny człowiek na wygnaniu, we Francyi i w Szwajcaryi, gdzie go znali ubodzy, gdzie się otaczał dziećmi, gdzie zwiedzał szkoły wojskowe, znajdując ukojenia tylko w dobroczynności i w muzyce. Czem była dusza jego przepełniona, temu też dał wyraz i w ostatnim czynie swoim, gdy testamentem z dn. 2 kwietnia 1817 roku udarował wolnością włościan swojej rodzinnej wioski Siechnowice.

Starałem się nie pominąć żadnego rysu, który nam postać Kościuszki i jego stanowisko w historyi uprzytomnić może — o ile to zdołałem uczynić na podstawie dostępnych mi materyałów.

Wielki to był zaprawdę człowiek; uznawały to obie półkule świata i temu też tylko przypisać można, że tak zwane dwory opiekuńcze, trzymające straż nad biednem, wolnem miastem Krakowem, nie mogły odmówić pozwolenia na sprowadzenie zwłok Kościuszki, pomimo, że ten wielki człowiek był patryotą i pierwszym naczelnikiem polskim.

Lafayette na uroczystym żałobnym obchodzie d. 31. października 1817 r. w kościele św. Rocha w Paryżu powiedział o Kościuszce:

„Był to mąż nieustraszony, którego nawet nieszczęście pokonać nie mogło. Imię jego należy do całego ucywilizowanego świata, a jego cnoty są całej ludzkości własnością. Dla Polaków pozostanie on po wszystkie czasy wzorem.

Alfred Szczepański.

Uzupełniające szczegóły życiorysowe.

Tadeusz Kościuszko urodził się r. 1746. Podróże naukowe odbywał od r. 1769 we Francyi, Niemczech i Włoszech. Wrócił do kraju r. 1774. Powtórnie przebywał we Francyi i 1778 udał się do Ameryki. Wrócił r. 1774 jako generał brygady. Jako generał pod dowództwem ks. Józefa Poniatowskiego odznaczył się pod Dubienką 18 lipca 1792 r. w batalii przeciw wojskom rosyjskim sprowadzonym przez spisek targowicki dla obalenia ustawy 3 maja. Po zwycięztwie Targowicy wziął dymisyą i osiadł w Dreznie. Przysięgę jako naczelnik powstania złożył w Krakowie r. 1794. Po upadku powstania przebył w więzieniu w Petersburgu do r. 1796. Uwolniony przez cara Pawła udał się do Londynu i do Ameryki. Do Francyi wrócił z misyą dyplomatyczną od Stanów Zjednoczonych w r. 1798. Po kongresie wiedeńskim r. 1815 osiadł stale w Szwajcaryi w Solurze u przyjaciela Zeltnera. Tamże umarł 15 października 1817 mając lat 71. Pogrzeb w Krakowie odbył się 3 lipca 1818 r. Mogiłę zaczęto sypać 16 października r. 1820, ukończono w październiku r. 1823. W starości zajmował się muzyką, malarstwem, tokarstwem, snycerstwem i najchętniej przebywał między dziećmi.



Kopiec Kościuszki w Krakowie.

Miłość Ojczyzny.

Napisał
Franciszek Mąkowski.

(Ciąg dalszy.)

A ileż świetnych, pojedyńczych jaśnieje czynów wśród całego szeregu morderczych wojen? Tam krwawe łzy lejące serce ojcowskie Karlińskiego, co strzelać każe z murów Olsztyna do własnych dzieci, aby nie oddać fortecy we wrogów ręce; ówdzie znowu kapłan w białym habicie a z krzyżem w ręku odpiera od murów Częstochowy hufce szwedzkie; tam Marcin Kątski spala na dłoni rzucone przez Turka lonty, ażeby iskra nie zapaliła prochów i nie wysadziła Ka-

mieńca fortecy w powietrze. Tu znowu poseł Trepka płonie na wolnym ogniu, niosąc do grobu tajemnice poselstwa, jakie Moskale męczarniami z niego wydusić chcieli. Tam Kiliński z pomocą mieszczan wypędza z Warszawy Moskwę; tu kmiotek Bartosz Głowacki z kosą w ręku moskiewskie zdobywa armaty.

A wszystkich skłania do tych czynów gorąca miłość Ojczyzny, taż sama miłość, która prowadziła tysiące braci naszych do kościołów, by tam w dniach ucisku zanosić modlitwę i protest do Wszechmocnego; taż miłość Ojczyzny, która gromadziła na ulicach Warszawy tysiące mężów, starców i kobiet bezbronnych, aby wobec osłupiałych ciemiężców nie już walczyć, ale pod godłem przez dzicz kozaczą porąbanego krzyża umierać i „przed ołtarze zanosić błaganie.“

Czy jeszcze widzieć pragniecie miłość Ojczyzny u tych, którym dla niej „zjadłe smakują trucizny“, którym „więzy, pęta nie zelżywe?“ Czyż chcecie, przewiesiwszy torbę tułaczą, szukać po świecie całym wypędzonych na obczyznę braci? Czyż pragniecie przechodzić drogę krzyżową po lochach więzień, po sybirskich tajgach, po lodach Kamczatki i oglądać tam miłość Ojczyzny? Czyż pragniecie odgrzebywać ją z pod śniegów, a widną w niedogryzionych przez zwierza kościach stepami pędzonych i ze znużenia i głodu upadłych braci naszych? Czy chcecie rozpoznać miłość Ojczyzny w owych szkieletach do murów więziennych zardzewiałym łańcuchem przykutych, a na zgniłym barłogu z głodu i pragnienia zmarłych? Czy chcecie się przyjrzeć miłości Ojczyzny u tych, co w krwi niewinnie przelanej legli pod batogiem barbarzyńca? Czyż wam wskazywać miłość Ojczyzny na licznych szubienicach, na których zawisły święte nasze ofiary kapłanów, szlachty, mieszczan i kmiotków?

„Wszystkie męczeństwa ołtarze,
Które krwią naszą obmyto,
Pożogi, zniszczenia, mordy
Zleją się w jedne akordy“,

a na ziemi mogił i krzyżów wszędzie zobaczysz najświętszą miłość Ojczyzny, którą karmiono matki nasze. Z ich piersi my ją wyssaliśmy, a przelejemy ją w dzieci i wnuki, jako najdroższą spuściznę, której nam nic wydrzeć nie zdoła.

Od kolebki do grobu, od przyjścia na świat do ostatniego przymknięcia powiek; wśród wesela i szczęścia, wśród niedoli i troski niechaj nam ona obok wiary św. przyświeca! Pamiętajmy o tem, że i Chrystus nad zburzoną płakał Jerozolimą, że wedle słów największego z naszych wieszczów:

„Nie było szczęścia w domu, bo go nie było w Ojczyźnie“, że tę Ojczyznę całą duszą, całem sercem kochać trzeba, kochać nawet po za grobem, jak ją ukochał wieszcz Ukrajiny, który woła:

„Bożeż, mój Boże! łzami modlę Ciebie,
Jak umrę, daj mi Ukrajinę w niebie.“

Jeżeli tak Ojczyznę ukochamy, o! wtedy niech grzmią pioruny, szaleją burze, niech wszyscy, co się na zgubę naszą sprzysięgli, obrzucają nas błotem, niech pragną zabić ducha i rozbić jedność naszą, nas miłość Ojczyzny uchroni od zagłady, Bóg zaś, według słów Irydyona, „po długiem męczeństwie, zorzę rozwiedzie nad nami, udaruje nas, czem aniołów swoich obdarzył przed wiekami, szczęściem tem, co obiecał na szczycie Golgoty — wolnością!“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Arcybiskupi Gnieźnieńscy i Prymasi.

(Ciąg dalszy.)



67. STEFAN WIERZBOWSKI,

herbu Jastrzębiec syn Mikołaja kasztelana inowłodzkiego i Urszuli Grudzińskiej, wojewodzianki kujawskiej. Urodził się r. 1620, w r. 1653 archidyakon łucki i w tymże roku kanonik krakowski, zażywał wielkich łask u królowej Maryi Ludwiki, sprzyjającej wielce całej rodzinie. Po Jędrzeju Olszowskim został referendarzem wielkim koronnym, a w r. 1665 Biskupem poznańskim. Przez króla Jana III mianowany Arcybiskupem gnieźnieńskim, nie otrzymał wszakże potwierdzenia od Papieża Innocentego X za to, że dał pozwolenie na ślub Hieronimowi Lubomirskiemu, kawalerowi maltańskiemu z Konstancyą Bokumówną, stolnikówną litewską. Umarł jako Arcybiskup nominat 7 marca r. 1687, mając lat 67. Pochowany w katedrze poznańskiej.

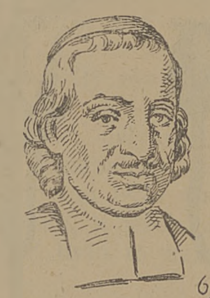
Był to człowiek bardzo ambitny, ale również pobożny.



68. MICHAŁ I STEFAN RADZIEJOWSKI,

Kardynał, syn sławnego zdrajcy ojczyzny Hieronima, podkanclerza i Eufrozyny Tarnowskiej, wdowy po księciu Konstantym Wiśniowieckim. Wypędzenie z kraju ojca w r. 1652, wywarło wielki wpływ na losy Michała. Niepewne też są wiadomości co do jego całej młodości, sposobu i miejsca kształcenia. Zdaje się, że czas dłuższy bawił za granicą, mianowicie w Francyi. Tyle pewna, że hetman Sobieski zaopiekował się młodym Michałem, który w r. 1672 został kanonikiem gnieźnieńskim, następnie proboszczem św. Michała na zamku krakowskim, a w r. 1677 Biskupem warmińskim. Odtąd rósł Radziejowski w godnościach, mając łaski u króla jak krewniak. W r. 1683 wyznaczył go Jan III do spisania warunków przymierza zaczepno-odpornego, które podpisał w Warszawie 31 marca. W roku 1686 zamianował go Papież Innocenty XI Kardynałem jako blizkiego krewnego Sobieskich. Pallavicini, wówczas nuncyusz w Polsce, został również Kardynałem. Radziejowski zostawszy Kardynałem, urósł w wielką dumę i żądał pierwszeństwa przed wszystkimi Biskupami i nie chciał ustępować miejsca nawet królewiczom. Położenie stawało się coraz przykrzejsze i nie było z niego innego wyjścia, jak zamianowanie Radziejowskiego Prymasem i Arcybiskupem gnieźnieńskim, co nastąpiło w r. 1687 po śmierci Stefana Wierzbowskiego. Jako Prymas upamiętnił się w r. 1696 i przez lat kilka trzymał ojczyznę w krwawem przesileniu. Z początku sprzyjał królewiczowi Jakóbowi, ale na sejmie konwokacyjnym przybrał rolę panującego i wziął stronę księcia de Conti. Dopiero sejm pacyfikacyjny w r. 1699 uciszył Rzeczpospolitę. Kardynał pogodził się z królem, ale zachował ku niemu wielką niechęć. Skutki tego pokazały się w czasie drugiej wojny szwedzkiej i Radziejowski występował ciągle jako pośrednik pomiędzy obu królami, polskim i szwedzkim. Umarł nagle w Gdańsku 13 października r. 1705, pochowany w Warszawie.

Żywot jego spleciony jest z ciekawą bardzo, ale smutną równocześnie epoką dziejów Polski.



69. STANISŁAW II SZEMBEK,

herbu Szembek. Syn Franciszka kasztelana kamienieckiego i Zofii Pieniążkównej. Najstarszy z jedenastu dzieci, urodził się w Morawicy w r. 1638 i przez dłuższy czas mówić nie mógł. Kształcił się w Krakowie i ukończywszy nauki duchowne w kraju, wyświęcony na kapłana, udał się do Rzymu, gdzie zyskał sobie łaski u swych zwierzchników i stopień doktora obojga praw.

Wróciwszy do Polski został kaznodzieją u Panien Wizytek w Warszawie, potem kanonikiem przemyślskim i krakowskim w r. 1676 a w r. 1899 sufraganem krakowskim. Pozyskawszy szczególne względy Augusta II, któremu rodzina Szembeków prawie wszystko zawdzięcza, został w r. 1699 Biskupem kujawskim. Zawdzięczał to głównie swemu udziałowi przy koronacyi Augusta II. W r. 1702 w czasie najazdu Szwedów Biskup Szembek narażając się na niebezpieczeństwo

życia uwiózł większą część klejnotów i skarbów koronnych na Szląsk do Opawy, gdzie przez trzy lata ich pilnował. August II wynagrodził mu to nominacyą w r. 1706 na Arcybiskupa gnieźnieńskiego i Prymasa.

Jako Prymas ważną odegrał rolę w czasie ówczesnych zamieszek w kraju, podówczas bowiem koronował się Stanisław Leszczyński w Warszawie i zamianował z wdzięczności za to Prymasem Konstantego Zielińskiego. Było więc dwóch Prymasów nominatów, ale Papież oświadczył się za Szembekiem. Umarł Szembek w dniu 3 sierpnia r. 1722 w Skierniewicach, pochowany z wielką pompą w katedrze gnieźnieńskiej.

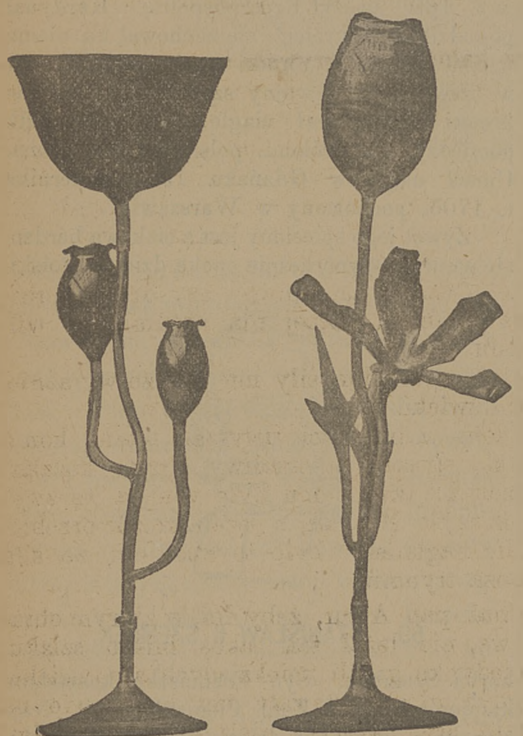
Był to mąż poważny, świątobliwy i nieskalanej moralności, ale dziejopisarze zarzucają mu wiele błędów i czynów przeciwnych dobru kraju w czasie smutnych wewnętrznych zatargów w swej anarchicznej epoce historyi Polski.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dział artystyczny.

Modne kielichy ozdobne.

Najpiękniejsze i najkosztowniejsze kielichy ozdobne noszą nazwisko tego, który szkło opalescencowe przyswoił celom industryi, a więc Amerykanina *Tiffany*. Mając formę stosunkowo skromną, wywierają one wspaniały efekt kolorytem i osięgają taki pod tym względem przepych, że przypominają skarby z tysiąca



Modne kielichy ozdobne według wzoru prof. Köppinga (Berlin)

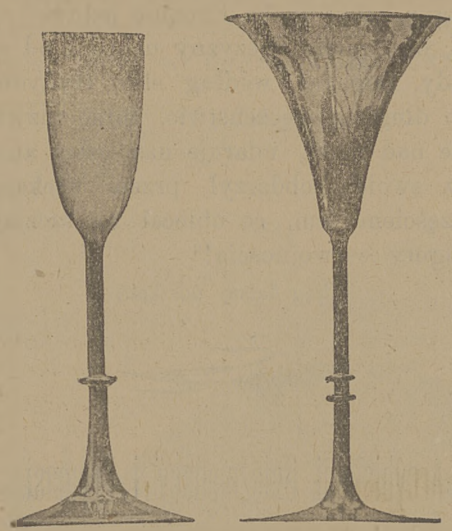
i jednej nocy. Są kielichy, które mienią się wszystkiemi cieniami perłowej macicy i wazony, które zdają się być zrobione z jednego olbrzymiego opala, dla jakiego indyjskiego naboba. Inne znowu lśnią jak różnobarwne skrzydła motyla lub jak aksamitne liście storczyków.

Do bardzo pięknych należą mianowicie te, które na stalowo-błękitnem tle mają ciemne, błyszczące oka z piór pawich, i szaro-żółte tła z matowo-czerwonemi żyłkami.

W wielkich miastach widać już dużo takich kielichów, puharów, wazonów itp., ale po większej części na wystawach, chociaż w Berlinie n. p. można je także podziwiać w niektórych składach.

Nowomodne te kielichy są tak skończenie harmonijne w tonach barwy, że wystarczają same w sobie, bez dodatku złocenia. Złoto przeszkadza tylko grze kolorów, a pomimo to są niektóre puhary montowane złotem.

We Francyi znajdują się największe huty szklane w Nancy, ta zaś huta, w której wyrabiają owe arcydzieła sztuki szklarskiej, zowie się Gallé.



Modne szklanki.

Gallé tworzy wazony szklane, podobne do keramik, obliczone przeważnie na efekt kolorów i to w ten sposób, że na pierwszą warstwę szkła każe lać drugą, odmiennego koloru, i z tej dopiero wyszlifować rozmaite motywa, po największej części liście, gałęzie i kwiaty. Są to więc szklanki z dekoracyą relief.

Kielichy Gallé nie odznaczają się taką grą kolorów jak kielichy Tiffany'ego, i są nieco cięższe, głębsze, masywniejsze, ale pomimo to zachwycają i barwą i kształtem. Pełne kolory przypominają malachit, ametyst i lapislazuli, a jak rośliny otaczają skały, tak i tu wiją się w koło kielicha wdzięczne gałązki i kwiaty.



Francuskie puhary według wzoru Gallé'go (Nancy).

W Niemczech nie ukazało się na tem polu, od czasów Köppinga, nic nadzwyczajnego. Kopping tworzył powiewne, delikatne kwiaty szklane o zachwycającej ale nietrwałej piękności, były to na cieniutkich łodygach wysmukłe kielichy w matowych, zamierających kolorach. Dziś jednak nie wiele pozostało z tych wytwornych, małych arcydzieł, i Köpping zarzucił zupełnie ten rodzaj wyrobów szklanych. Obok wymienionych już kielichów wspomnieć też jeszcze należy o wyrobach czeskiej huty szklanej w Klostermühle. Wazony, puhary i t. d. są naśladowaniem Tiffany'ego, ale o wiele tańsze i odznaczające się bardzo pięknemi cieniami przeróżnych kolorów. Są one nadto dowodem, że i w produkowaniu en gros takich przedmiotów można okazać wytworny smak, co dla kupującej publiczności bardzo jest ważnem i pożądanem. *Oska.*

Dział kobiecy.

Najnowsze mody.



Toaleta teatralna z kropkowanego tiulu z wszywkami atłasowemi.

Los kobiet indyjskich.

Nieszczęśliwe położenie kobiet indyjskich wzruszająco opisuje autor angielski Kipling w książce swej: „Kobieta indyjska.“ Gdy dziewczę dojdzie zaledwie do 5-ciu lat życia już rodzice starają się wydać je za mąż. Przeważnie już w wieku 7--8 lat życia dziewczę indyjskie odchodzi za mężem często w dalekie nieznane strony, żegnając na zawsze rodzinę. Słyszałem raz w domu indyjskim rozpaczliwe krzyki takiego nieszczęśliwego dziecka, i głosu tego nie zapomnę do śmierci. W domu męża żona zajmuje bardzo podrzędne i politowania godne stanowisko. Za towarzyszki ma jedynie niewolnice. Wstaje z szacunkiem, gdy mąż wchodzi do pokoju, odpowiada tylko na zapytanie, nie śmie zasiąść do stołu razem z mężem, lecz je później i tylko to, co mąż jej zostawi na misce. Gorszy jeszcze los kobiety, która owdowieje, co spotyka ją często między 10--12 rokiem życia. Za przyczynę śmierci męża powszechnie uważają winę żony, podejrzewając ją albo o niewiarę małżeńską albo też o pozbawienie męża życia. Wtedy już wszystko dla nieszczęśliwej istoty skończone. Odbierają jej cenniejsze rzeczy, będące jej własnością, obcinają jej włosy, za pokarm dostaje tylko owoce i korzonki. Najczęściej rodzina męża daje do zrozumienia wdowie, że powinna pozwolić spalić się żywcem na grobie męża i tym sposobem przebłagać zagniewane bóstwo. Często nieszczęśliwa kobieta ginie w ten sposób dobrowolnie nie mając innego punktu wyjścia. Władze angielskie starają się usilnie wykorzenić powoli barbarzyński zwyczaj palenia wdów. *Z.*

CZĘŚĆ DRUGA.

KRWAWY CHRZEST.

Powieść ze zdarzeń ostatnich w trzech częściach.

Napisał

J. Dzierzkowski.

Partyzanci.

(Ciąg dalszy.)

Zaledwie pan Artur ślub ten w myśli uczynił, dało się w oddaleniu słyszeć kilkanaście nieregularnych wystrzałów, na które zaraz odpowiedział ogień rotowy, a jednocześnie tuż za panem Arturem zabrzmiał tubalny głos pana Bartłomieja:

— Na koń, bracia!... naprzód!... na wroga!...

Jakim sposobem na odgłos tej komendy pan Artur równie szybko jak inni znalazł się na swoim koniu, tego już on sam nie wiedział. Robił to, co robili inni, ale wszystko automatycznie, instynktowo. Ociągać się i rozmyślać niebyło czasu, echo wystrzałów zelektryzowało i jego, tak jak wszystkich. Nie upłynęła minuta cały oddział wypadł już z zasadzki, odsłonił się przed nieprzyjacielem, ale jeszcze przez niego spostrzeżonym nie został. Moskale bowiem rzeczywiście minęli już miejsce, w którem oddział pana Bartłomieja był ukryty, a uwaga ich naturalnie zwróconą została w stronę, zkąd zostali zaatakowani przez Klina i nadciągającego od tyłu nieprzyjaciela domyślać się nie mogli.

Całym pędem koni spieszyli zahajpolscy, korzystając z tej chwilowej nieuwagi moskiewskiego oddziału, i tak dalece zdołali ją wyzyskać, że znaleźli się na odległość strzału i kulami dopiero dali zaatakowanym wiadomość o sobie.

Kilku kozaków spadło z koni, w oddziale moskiewskim, wziętym we dwa ognie, zrobiło się zamięszanie. Zamiast odpowiedzieć natychmiast na ogień zahajpolskich, zatrzymali się i zawahali. Położenie ich nie było pożądane. Wzięci z dwóch boków, nie mogli się cofać bez narażenia się na krzyżowy ogień, nie mogli się zwrócić w prawo lub lewo bez podania tyłu jednej ze stron nacierających, a przed sobą mieli Smotrycz, przez którą wprawdzie można było w niektórych miejscach przejść w bród albo przepłynąć, ale takie przejście pod ogniem nieprzyjaciela równałoby się zupełnej porażce.

Nie pozostawało im zatem nic innego, jak zwróciwszy się tyłem do rzeki, przyjąć bitwę na miejscu.

Wahanie się ich chwilowe wyszło jednak na korzyść partyzantom, którzy tak zwartem otoczyli ich kołem, że okazało się nieuniknionem najstraszliwsze starcie — na broń białą.

Bagnety miały zmierzyć się z kosami, a kosa w pierwszych początkach powstania przesądną trwogą przejmowała nieoswojone z tym rodzajem broni żołdactwo moskiewskie.

Dowodzący Moskalami oficer nie przewidywał przytem wcale, żeby powstańcy mieli się posunąć aż do otwartego ataku, a tem mniej nie przypuszczał, żeby mógł być wziętym we dwa ognie, i nie mógł się odrazu zrejestrować w swem położeniu.

Wszystko to osłabiało szanse Moskali i tyleżkroć potęgowało prawdopodobieństwo zwycięstwa miateżników.

W chwilę potem zaczęła się walka mordercza, w której atakujący i atakowani byli tak blisko, że ogółu tego starcia i chwiania się zwycięstwa na tę lub ową stronę nie można było objąć wzrokiem widza, któremu tylko przedstawiały się krwawe pojedyńcze epizody.

Jeden z najtragiczniejszych tej walki epizodów odgrywał się niezawodnie w duszy najmimowolniejszego jej uczestnika, pana Artura! — Mieć śmierć przed sobą i za sobą i obok siebie i do koła! Najodważniejszego człowieka w pierwszej potyczce mimowolna przejmuje zgroza, a cóż dopiero powiedzieć o cywilizowanym, salonowym, europejskim młodzieńcu, którego fatalność wyrwała z kryjówki w buduarze wdowieńskim, i rzuciła prawie bezpośrednio, prawie zaraz, w najzacieklejsze jatki mężobójcze. Gdyby nawet pan Artur był jednym z homerowskich bohaterów, jeszczebyśmy mu nie mieli za złe, jeżeliby drżał znalazłszy się w tym tańcu śmierci i jeśliby stracił głowę na chwilę. Ale syn pana markiza okazał się wyższym od bohaterów homerowych. Drżał wprawdzie, ale głowy nie stracił, i gdy inni zapomniawszy o wszystkim bili się tylko, on pamiętał jeszcze o sobie i myślał o tem, jakby się tu z tej sprawy wycofać cało....

Sposób wycofania się znalazł się dla niego i były kamerjunkier miał tyle przytomności umysłu, że zeń skorzystał.

Sposób ten wyglądał wprawdzie ponętnie. Miał postać paru łokci głębokiego dołu, na dnie którego była wilgotna kałuża. Z wysokości konia dojrzał Ketteler ten dół i zaraz nań zwrócił uwagę, jako na pozycyę strategiczną, doskonale mogącą zabezpieczyć ojczyźnie jednego na przyszłość obrońcę. Walka na białą broń rozpoczynała się dopiero, a że pan Artur jako człowiek niegorączkowy, nie śpieszył się do pierwszego szeregu, więc nie należał jeszcze do niej, lecz owszem z niewiadomej przyczyny — koń mu pewno trochę okulał — przyzostał w tyle. Koń kulawy w bitwie jest tylko zawadą, zeskoczył więc z niego i puścił go na wolę losów, a idąc pieszo ni ztąd ni z owąd znalazł się nad samym owym dołem. Spojrzał weń i wahał się jeszcze, ale gdy błędna jakaś kula świsnęła mu koło ucha, uważał to widać za wskazówkę jak ma postąpić....

Rzucił broń i chwycił się oburącz za piersi, jakby grotem śmiertelnym dotknięty, nogi się pod nim zachwiały, upadł i w chwilę potem rzadkie błoto, pokrywające dno dołu, miało zaszczyt przyjąć na swoje łono ciało eleganckiego markiza, ciało z którego bohaterski duch ani uleciał, ani ulatywać nie myślał....

Na tej wodnistej pościeli, na której jakiej rusałce możeby było wygodnie, ale wygodnie być nie mogło rozpieszczonemu markiza synowi, przeleżał były kamerjunkier pięć godzin. Łzy nam stają w oczach na samą myśl, jakiego przez to mógł się nabawić kataru; nie było to przecież jeszcze niczem, gdyby ten pięciogodzinny spoczynek miał niezakłócony żadnemi przykremi wrażeniami i przygodami.

Los jednakże sprzysiągł się tego dnia na naszego bohatera!

Do spoczynku w kałuży przygrywała mu z początku najnieprzyjemniejsza z muzyk wrzawa odbywającej się tuż prawie nad jego głową krwawej potyczki. Wrzawa ta to się wzmagała, to słabła, w miarę jak się zbliżało lub oddalało główne ognisko walki. Jęki rannych, klątwy moskiewskie, polskie okrzyki, szczęk kos i pałaszów, huk wystrzałów, dobiegały pomięszane z kryjówki pana Artura. Jeżeli drżał i teraz, chociaż schowany, to mu tego tembardziej za złe brać nie można, że sam przed sobą nie potrafił zdać sprawy czy drży z przerażenia czy też trzęsie go febra, więcej niż naturalna w wilgotnem jego schronieniu.

O różnych kolejach walki donosiły mu bardzo wyraźnie, dobiegające jego uszu dźwięki.

Jeżeli po nad sobą w bliskości usłyszał tętent konia a jednocześnie dawał się słyszeć przeraźliwy krzyk kozaka: „Nie ujdiosz buntowszczyk!“ wolno mu było wnosić, że zwycięstwo się chyli na korzyść Moskali, a jeżeli kozak przebiegający wrzeszczał: „Nie nagonisz!“ było to znakiem, że siła zbrojna narodowa bliższa tryumfu.

Wolałby był jednak pan Artur, żeby dół, w którym obrał sobie stanowisko bojowe, nie leżał tak jakoś blisko szlaku, którym kozacy na pojedynkę gonili uciekających, albo uciekali przed goniącymi, gdyż włosy wstawały mu na głowie na samą myśl co to będzie, jeżeli który z nich w zapale pościgu lub ucieczki wpadnie z koniem do tego dołu....

Że to nie była płonna obawa, miał niestety sposobność były kamerjunkier bolesnem doświadczeniem się przekonać!

Rzeczywiście w zamęcie walki koń jednego z jeźdźców, — pan Artur nie mógł nawet dostrzedz i poznać do której należącego strony, — potknął się i przedniemi kopytami spadł na jego biodra, ale zaraz dał dęba, a potem rów przesadził i popędził dalej, pozostawiając byłemu kamerjunkrowi na pamiątkę dwie najokropniejsze kontuzye prawego biodra, które szczęściem tylko i cudem prawie, nie pogruchotały mu kości.

Pod wpływem bólu markizek stracił przytomność i wcale już później nie wiedział, co się nad nim i koło niego działo.... Gdy przyszedł do siebie i ocknął się z omdlenia, oraz przypomniał sobie gdzie jest i jakim się tam dostał sposobem,

ustała już cała wrzawa walki, najmniejszy szmer znikąd nie dobiegał jego ucha.

— Wyraźnie już po bitwie — mówił do siebie.

Ból dolegliwy w miejscach stratowanych przypomniał mu bardzo wymownie, że i on z tej bitwy nie wyszedł cało. Dalsza pozycya w dole stała się dlań przytem tak dalece nieznośną, że nowe bohaterstwo w niego wstąpiło.

— Choćby się nie wiem co stać miało — rzekł w duchu — nie wytrzymam dłużej, wyjdę ztąd.

Pomimo przecież tego bohaterstwa o koniecznej ostrożności nie zapominał.

Wychylił głowę z dołu, o ile to podobne było najmniej uczynić, ażeby coś przecież zobaczyć.

Nie zobaczył nic szczególnego. Nigdzie, jak daleko oko jego sięgało, ani piki kozackiej, ani buntowniczej kosy, ani żywej duszy dokoła.

To zachęciło pana Artura do wychylenia się coraz bardziej, aż nareszcie wyprostował zupełnie swoją osobę oraz zbolałe od niewygodnej pozycyi, przemoczenia i potłuczenia, członki.

I teraz nigdzie w okół nie było widać człowieka.

Przeświadczenie, że się wszystko skończyło, albo że teatr walki przeniósł się gdzieś daleko, rozzuchwaliło pana Artura — wylazł z dołu.

Gdy stanął na powierzchni ziemi, powiększył się w dziesięćkroć zakres, który mógł objąć wzrokiem. Rozpatrzył się więc w około nie bez pewnej obawy i dopiero odetchnął pełną piersią, gdy i teraz jeszcze żadnej ludzkiej istoty nie zobaczył.

— Oczywiście skończyło się już wszystko, — powtórzył.

Jak się skończyło? czy ta, czy tamta strona zwyciężyła? — nad tem nie myślał, było to dla niego obojętne.

Przed nim w tej chwili stała inna kwestya:

— Co teraz począć?

A nie była to kwestya do rozwiązania łatwa. Biedny ex-kamerjunkier był znowu między młotem a kowadłem. Mógł wpaść w ręce Moskali, mógł się dostać do swoich, ale i tego i tamtego wcale sobie nie życzył.

Dla Moskali odzież jego, zbłocenie, stratowanie, były najlepszem świadectwem, że brał udział w walce. Jeżeli zwyciężyli, to litości nie mają dla zwyciężonych i mogą się z nim obejść najniegrzeczniej; jeżeli zwyciężeni, to tembardziej mścić się muszą na maroderach, którzy się dostaną w ich ręce.

Dostać się do swoich wprawdzie napozór niczem złem nie groziło. Co im do tego, gdzie pan Artur był w czasie bitwy, dość, że jest kontjunozowany okropnie, i że mimo to wraca, ale dostanie się do swoich groziło mu pozostaniem nadal w szeregach narodowych, w najlepszym razie pozostawieniem go gdzieś po drodze na kuracyi jako rannego, ale zawsze z zachowaniem charakteru powstańca, a więc z wszystkiemi możebnemi dalszemi niebezpieczeństwami. Tymczasem dla pana Artura było już tego żołnierstwa narodowego aż zawiele, nie jedno, ale dwa szczerozłote serca zawiesiłby na ołtarzu wzniesionej przez jego ojca kaplicy, gdyby się teraz mógł od tego raz na zawsze uwolnić, i jeżeli nie uczynił w tym duchu ślubu, to tylko dlatego, że pierwszy był tak bezskuteczny i tak niełaskawie przyjęty.

Trzeba więc było unikać jednych i drugich, trzeba było dostać się albo do Łaszczyniec, albo za granicę, i lepiej nawet za granicę, niż do Łaszczyniec, bo któż mógł wiedzieć co się tam działo. I tam już mogli się rozgospodarować jedni lub drudzy z tych, z którymi pan Artur spotkania nie pragnął, tak jak się mogli rozgospodarować wszędzie, gdziekolwiekby się zwrócił: w Zaskalu, w Gradowcach, w Rozdrożu.

Kwestyi więc, „co teraz począć?“ nie można było rozwiązać jak instynktem, jak zdaniem się na los szczęścia, zdecydowaniem się na to i oswojeniem się z tą myślą, że niebezpieczeństwa przebyte może są tylko wstępem do nowych i przykrzejszych.

Instynkt doradził panu Arturowi ukryć się byle gdzie i dopiero pod osłoną nocy iść dalej.

Najbliższą kryjówką był las, powlókł się tedy kulejąc, oglądając się, przystając i nasłuchując, ku lasowi, gdzie go na czas pewien wraz z Czytelnikiem z oczu stracić musimy.

XIII.

Jeżeli pan Artur, bezpośredni uczestnik i naoczny świadek bitwy pod Gradowcami, tak mało wiedział o jej rezultacie i przebiegu, cóż więcej o niej wiedzieć może historya, która przecież nie zawsze na zasadzie podań bezpośrednich uczestników i zeznań naocznych świadków się spisuje?

Pragnąc dojść historycznej relacyi o tej bitwie, przewertowaliśmy wszystkie źródła a byliśmy tyle naiwni, żeśmy zaczęli od moskiewskich.

Najskrzętniejszy przegląd pism moskiewskich z owej epoki doprowadził nas tylko do przekonania, które musielibyśmy przyjąć, gdybyśmy tym źródłom bezwzględnie zaufali, że tej bitwy wcale nie było.

Gdyśmy dotarli do wspomnianego już wyżej dokumentu, którym najwyższa władza wojskowa nakazywała jenerał-gubernatorowi, żeby w obrębie gubernii powierzonej jego władzy *pod nikakim predłogom*, to jest pod żadnym pozorem, powstania nie było, zrozumieliśmy tę zagadkę. Jakże miała być bitwa, kiedy rząd jej sobie nie życzył? Dzięki tej przezorności najwyższej władzy wojskowej, armia moskiewska liczy, aż do dzisiaj, więcej o jednego kozaka, który byłby obowiązany poledz w tem starciu, jako nieodzowny ekwiwalent kilkuset poległych i tyluż rannych miateżników.

Ale i źródła polskie nie bardziej są w relacye o tem starciu obfite. Tę znowu okoliczność przypisać należy temu, że tych źródeł jest mało, i nie wszystkie dotąd spisane. Wiele z nich tuła się jeszcze po Europie i opowiada z pamięci to co widziały, a napotkać na takiego tułacza niełatwo, cały bowiem oddział Klina zwerbowanym był wówczas z okolicy, i składał się z ludzi nie bardzo pochopnych do pióra, trzeba więc koniecznie spotkać kogoś z tamtych stron, aby coś o tej bitwie usłyszeć.

Dotarliśmy aż do takiego świadka i to, co o bitwie gradowieckiej wiemy, na podstawie jego opowiadania powtórzymy.

Morderczą i długą była walka, w której pan Artur został tak niegrzecznie kopytami końskiemi utraktowany. Moskale, liczniejsi, widząc, że w razie wparcia do Smotryczy, wszyscy prawie wyginąć mogą, i sądząc, że dowódca rzeczywiście to ma na celu, bronili się ze wszystkich sił. Zwycięstwo wahało się dość długo, każdy kawał ziemi zdobywany i odzyskiwany był napowrót, w końcu jednak Moskale spostrzegli, że coraz więcej zyskują terytoryum, że zamiar partyzantów wepchnięcia ich do rzeki udać się nie może, że oddział powstańczy się cofa.

Cofanie to było regularne, z bardzo silnym połączone odporem, ale w każdym razie było cofaniem się, co gorsza, cofaniem się coraz szybszem, skierowanem w stronę, w której, o ile dowódcom moskiewskim topograficzna znajomość miejscowości wnosić dozwalała, nie mogli mieć dogodnego stanowiska. Było więc interesem Moskali napierać, zdawało się im niezawodnem, że tym sposobem uda im się oddziały Klina i pana Bartłomieja, których połączeniu się w pierwszych fazach walki przeszkodzić nie mogli, rozbić znów na dwie części i każdą z tych części pojedyńczo pobić na głowę i rozprószyć.

Po dwugodzinnej jednak blisko rejteradzie zmieniła się nagle postać rzeczy

Powstańcom przybyła odsiecz niespodziewana przez nieprzyjaciela.

Cofnąwszy się do pewnego dosyć już odległego od miejsca pierwotnej potyczki punktu, Klin nagle zmienił taktykę z odpornej w zaczepną, a jednocześnie Moskale zostali z dwóch stron zaatakowani od tyłu.

Wówczas dopiero okazało się, że owa rejterada była tylko manewrem dowódcy, na który oddział moskiewski dał się złapać. Okazało się, że Klin zebranych ochotników nie na dwa, lecz na cztery podzielił oddziały, i że wrogów wciągnął w nową zasadzkę.

Wojskowi zapytają zapewne dlaczego rozdrabniał swoje siły, dla czego sam dobrowolnie się osłabiał, po co wszystko stawiał na kartę, na przypadek nieudania się manewru?

Słuszne pytanie, odpowiemy więc na nie zaraz, że Klin inaczej postąpić nie mógł, i że w ten tylko sposób mógł wszystkich swoich ludzi należycie spożytkować.

Na wieść o pierwszej porażce Moskali w Gradowcach i o wybuchu powstania, korzystając z kilkodniowej swobody, zbiegło się pod chorągiew powstańczego dowódcy tylu ludzi, że choć Stanisław bardzo usilnie pracował nad przysposobieniem broni, znaczna ich część jednakże nie mogła być uzbrojoną należycie. Poprowadzić tę część od razu do bitwy, byłoby to pomnożyć siły oddziału tylko liczebnie, ale nie wzmocnić go wcale. Owszem było do przewidzenia, że w takim razie, na przypadek chwilowej choćby tylko przewagi nieprzyjaciela, owi niedostatecznie uzbrojeni staną się przyczyną zamięszania i popłochu, który spowodować może zwichnięcie ułożonego planu i porażkę.

Podzielił ich zatem dowódca na dwa jeszcze oddziały, rozlokował odpowiednio, dając jednym za dowódcę Stanisława, drugim Franka Harasia, i dopiero powyżej opisanym manewrem wprowadził Moskali między nich.

Była to więc zbierana i źle uzbrojona drużyna, zostająca pod kierunkiem ludzi, z których jeden z książki tylko znał wojskowość, a drugi rozumiał doskonale służbę żołnierską, lecz nie miał pojęcia o oficerskiej. Ale za to były to siły świeże, uderzające na zmęczonych i zaprzątniętych już ciągle toczącą się walką z oddziałem dobrze uzbrojonym i wyćwiczonym. Była to odsiecz, której samo ukazanie się zasiać musiało demoralizacyę w szeregach moskiewskich.

A w szeregach tych ludzi nowozaciężnych, z których nie wszyscy nawet kosami byli zbrojni, udanie się manewru Klina musiało podnieść zapał do najwyższej potęgi. Dowódca sprowadzał im silniejszego nieprzyjaciela w zasadzkę, wiódł go jakby na pasku do naprzód przewidzianego punktu, znać było, że na nim grał jak chciał, mającym więc odbyć krwawy chrzest ogniowy ochotnikom musiał swoją wyższością nad nieprzyjacielem zaimponować. Wydawał im się znakomitością, półbogiem, uwierzyli, że pod jego komendą zwyciężyć tylko mogą, więc zwyciężyć musieli.

Nie upłynął kwadrans od przyłączenia się do walki oddziałów Stanisława i Franka, a już to zwycięztwo było niewątpliwe, już było nawet odniesione, bo już oddział moskiewski jako oddział nie istniał, istniały tylko pojedyńcze żołnierzy gromadki, nie złączone wspólnym węzłem w jedną całość, której spójnia jest największą potęgą. Gromadki te broniły się lub uciekały, rzucały broń i poddawały, albo rozpacznie usiłowały się przedrzeć przez oddziały partyzanckie i utorować sobie drogę odwrotu, słowem, działały jak która mogła i umiała. Bitwa z ogólnej zamieniła się w epizodyczną, działy się bohaterstwa, których nie widział ten, kto był o dwadzieścia kroków — krew płynęła.

W godzinę już wszystko było skończone. Zwycięztwo partyzantów było świetne, stanowcze, niezaprzeczalne, los jednak chciał, żeby było okupionem zbyt drogo.

Strata kilkunastu poległych i kilkudziesięciu ciężej lub mocniej ranionych równoważyłaby się jeszcze z ciężką klęską zadaną nieprzyjacielowi, tembardziej, że to zwycięztwo przynosiło oddziałowi powstańczemu broń, której mu brakowało i podnosiło ducha tak w ochotnikach jak w masach ludu, równoważyłaby się niezawodnie, gdyby pomiędzy rannymi nie znajdował się sam dowódca.

Klin, który z całego przebiegu walki wyszedł bez skaleczenia i stłuczenia, już prawie w samym końcu bitwy, pchnięty został piką kozacką w lewy bok nieco poniżej ramienia.

Lekceważył zrazu tę ranę, chociaż bolesną, i nieopatrzony walczył dalej, nie zsiadając z konia. Dopiero po bitwie, gdy oddział na dany znak zgromadził się koło niego i gdy chciał podniesionym głosem przemówić słów kilka do swoich towarzyszów broni, winszując im zwycięztwa i dziękując za nie, siły go opuściły nagle.

Otworzył usta i chciał mówić, ale krew w nie nabiegła i głos stłumiła.

I nim upojona zwycięztwem rzesza ochotników spostrzegła co się z nim dzieje, on zachwiał się i omdlały spadł z konia.

Rozweselone tryumfem twarze partyzantów spoważniały nagle i zesztywniały trwogą.

Pan Bartłomiej Zahajpolski pierwszy zeskoczył z siodła i pospieszył do omdlałego, w ślad za nim rzucili się inni.

— Naczelniku! panie bratku! co wam jest?... — zawołał szaraczek wstrząsając jego ramieniem.

Ale daremnie. Klin nie dawał znaku życia.

Rozpięto mundur na piersi i wtedy dopiero spostrzeżono, że cała była krwią zbroczona.

Służba lekarska nie najlepiej była uorganizcwaną w tym partyzanckim oddziale, równie jak w innych w czasie ostatniego powstania. Moskale dopiero później wzięli na filantropię, a raczej zaczęli paradować nią przed Europą; wówczas, w powstaniu, lekarza miateżników uważali także i traktowali jak buntowczyka, kto więc chciał nieść pomoc ranionym, musiał być w czasie walki szeregowcem, a po jej odbyciu dopiero, brać się do szarpi i bandaży, i stawać się doktorem, o ile jaka kula, albo jaki pałasz jego samego nie uczyniły wołającym o pomoc chirurgiczną pacyentem. Że w takim stanie nikt się na lekarza polowego nie spieszył, rzecz naturalna, a choć i był gdzie jaki medyk, to zwykle w czasie bitwy walczył po łacinie, i gdy przyszło do opatrywania ranionych, sam pierwszy potrzebował opatrunku.

W oddziale Klina służbę chirurgiczną miał pełnić pan Mateusz, jedyny na całe Gradowce golibroda, który wstępując do oddziału nie chciał brać nawet z sobą przyrządów operacyjnych, twierdząc, że idzie bić się, a nie bańki stawiać, i tylko na wyraźny rozkaz dowódcy zgodził się z partyzanckim połączyć także i lekarski charakter.

Był to człowiek już szpakowaty, wdowiec, bezdzietny, wesołego, jowialnego prawie usposobienia, człowiek, którego niktby nie był posądził, że i w nim także drga jakaś żyłka żołnierska, a trzeba było bitwy gradowieckiej dopiero, żeby się okazało, iż żyłka ta w nim była jedną z najsilniejszych tętnic.

W czasie bitwy bił się jak umiał, strzelał, kłuł i siekał w prawo i w lewo, a tak jakoś szczęśliwie, że mu żaden z Moskali należycie i trafnie nie odstrzelił, nie odkłuł, nie odsieknął. Po bitwie zabrał się do opatrywania tych, którzy byli pod ręką a potrzebowali pomocy. Opatrując śmiał się, żartował i dodawał ducha pacyentom dobrym humorem.

Kilku już opatrzył, gdy go powołano do dowódcy.

— Dowódca ranny — zawołał, tracąc nagle humor i bledniejąc — gdzie?... w co?... czy ciężko?...

— Nie wiemy... w piersi!...

Pospieszył. Zastał Klina bezwładnym i sztywniejącym.

— Zle — rzekł półgłosem — źle.

— Czy w serce? — zapytał jeden z otaczających.

— Nie... mam nareszcie... tutaj jest rana...

— Trzeba wyjąć kulę...

— To nie od kuli... rana głęboka... i ten człowiek mógł tak długo trzymać się z nią na koniu!... nie pojmuję...

— Jest niebezpieczeństwo...

— Fatalne!... płuca zdają się dotknięte, krwi upłynęło za wiele.

Uroczysta nastała cisza.

Po długiej chwili namysłu pan Mateusz zabrał się w milczeniu do tamowania krwi i obwiązywania rany. Chciał następnie cucić pacyenta, ale usiłowania jego były daremne.

— Trzeba przenieść omdlałego do pierwszego lepszego domu.

Najbliższym domem była karczma Mortka w Rozdrożu, tam więc zamierzano ponieść rannego.

Z burek partyzanckich urządzono naprędce nosze, złożono na nich bezwładne ciało dowódcy i kondukt żałobny w milczeniu wyruszył w drogę.

Tuż przy chorym postępował pan Mateusz, wpatrywał się w niego i kiwał głową.

Nikt go nie śmiał pytać, co myślał.

Karczma w Rozdrożu stała pustką i otworem. Z chwilą zbliżającej się walki stary Mortko z rodziną wyniósł się do lasu.

Oprócz naczelnika przyniesiono tam kilku jeszcze ciężko ranionych. Karczma zamieniła się w szpital, i w tem samem miejscu, gdzie niegdyś tak wesołe chwile przepędzał czastny prystaw Iwan Iwanowicz, odzywały się teraz jęki rannych i chrapanie umierających.

Ratunek naczelnika był bardzo trudny. Pan Mateusz tracił głowę.

— Doktora trzeba, koniecznie doktora, ja za nic nie ręczę, ja nic nie umiem... — mówił do pana Bartłomieja.

— Czy siak czy tak, panie bratku, rób co możesz... ja lekarza nie dobędę z pod ziemi.

Usiłowaniom pana Mateusza powiodło się po części. Po upływie godziny może, ranny dał znak życia.

Otworzył oczy, jakby się budził z ciężkiego snu. Podniósł rękę do czoła, jakby dla zebrania wspomnień.

Otaczający oddech tamowali w piersiach.

— Więc Moskale?... — zapytał słabym głosem.

— Pobici i rozproszeni...

— Niech żyje Polska! — zawołał silniej ranny.

— Na miłość boską! cicho!... — przestrzegł chorego zaimprowizowany lekarz obozowy — zabijesz się, naczelniku!

— Ciężkom ranny?

— Nie bardzo...

— Prędko będzie można... na konia...

— Zapewne.. wkrótce...

— Nie tajcie nic... ja powinienem wiedzieć...

— Za kilka...

— Dni?

— Może tygodni...

— Dziękuję...

Klin ścisnął rękę pana Mateusza, potem obecnym dał znak do odejścia, tylko pana Bartłomieja gestem zatrzymał przy sobie.

Gdy ich pozostawiono samych w alkierzu, rzekł do szaraczka:

— Słyszałeś, kolego?

— Słyszałem... siak czy tak, panie bratku, jeszcze to nic... wyliżesz się z tego...

— Jeśli nie umrę — uśmiechnął się łagodnie — w każdym razie na kilka tygodni najmniej... jestem do niczego...

— Oh! co znowu! będziesz nam służył.

— Czem?

— Przez godzinę jeszcze... i właśnie chcę...

— Zakaszlał... napływ krwi do ust odebrał mu chwilowo mowę.

Pan Bartłomiej przywołał pana Mateusza, który zakazał rozmawiać z chorym. Gdy jednak kaszel ustał, Klin zażądał stanowczo, aby doń sprowadzono pana Bartłomieja.

— Muszę mówić — rzekł do niego, gdy Zahajpolski zaklnął ge, żeby się oszczędzał i nie wysilał — muszę, choćbym miał skonać..

— Więc w trzech słowach... ja słucham...

- Co myślisz dalej?...

— Organizować się... okopać... bronić... gromadzić siły... mamy Gradowce, mamy okolicę...

— Chory podniósł rękę i machnął nią lekko na znak, że się to wszystko na nic nie zdało.

— Co począć? — zapytał pan Bartłomiej.

— Uciekać... jedyna rada uciekać...

Pan Bartłomiej spojrzał na niego zdziwiony i machinalnie sięgnął ręką po jego rękę.

Znów uśmiech się zabłąkał na wybladłej twarzy rannego.

- Sądzisz, że plotę w gorączce?...

— Bo i po co uciekać, panie bratku... nikt nie goni i nie zaczepia... jak przyjdą, czas będzie.

— Jak przyjdą to już czasu nie będzie, nie zostawać nigdzie dłużej... ciągle w ruchu... zjawiać się jak z pod ziemi gdzie trzeba... jeżeli oddział za wielki... za ciężki do szybkich ruchów... to go dzielić na dwa lub trzy... jeśli za mały, łączyć z innemi... czy po zwycięztwie, czy po porażce znikać... to jedyna taktyka...

— I dopókiż tego?...

— Bóg wie.

— Ależ to szaleństwo!

— Może.

— Czy tym sposobem można w końcu zwyciężyć?...

— Byleby wytrwać do końca... bo to długo!... więc ci, którzy głównie kierują ruchem, myśleć muszą i myślą o wywalczeniu gdzieś, w odpowiednim punkcie, kawałka terytoryum... tu na Podolu byłoby to niemożebne... Gdyby się to udało, partyzantka zyskałaby silniejszy punkt oparcia... ale...

Nie miał sił wykładać panu Bartłomiejowi dalszych swoich poglądów na teoryę prowadzenia wojny partyzanckiej, dawanie instrukcyi wyczerpywało resztę sił jego. Gestem wskazał, że mówić nie może tyle, ileby chciał.

— Więc dawaj rozkazy, naczelniku.

— Zwołać w tej chwili oddział... podzielić go na piątki, albo szóstki... wyznaczyć punkt zborny o kilka mil... masz mapę przy sobie?...

— Mam — odpowiedział pan Bartłomiej podając ją choremu.

Klin wskazał miejsce.

— Tutaj... Rannych porozmieszczać gdzie się da... Oddział cały natychmiast zniknąć ztąd musi..

— Cóż z tobą zrobić, naczelniku?

— Mnie tu zostawić... czuję, żebym drogi nie przeżył.

— Któż czuwać będzie?

— Bóg.

W słowie tem był akcent silnej i głębokiej wiary, wobec której pan Bartłomiej nie nalegał o pozostawienie dozoru przy chorym.

— W imieniu Rządu narodowego — rzekł słabym głosem dowódca — mianuję cię naczelnikiem mego oddziału aż do chwili w której będziesz go mógł oddać... pod dowództwo kogoś wprost przez Rząd mianowanego... Po rozpuszczeniu oddziału... przed zebraniem go na nowo... złożysz raport Rządowi... drogą... wiadomą... Bądź zdrów!...

Uściskiem rąk pożegnali się dwaj dowódcy i pan Bartłomiej poszedł do swoich ludzi, ażeby ich zgromadzić i oznajmić im wolę naczelnika.

Wysłuchali jej w milczeniu i bez żadnej oznaki niezadowolenia, chociaż im się nie bardzo podobała.

Ci biedacy, którzy świeżo krwawy chrzest wojenny odbyli, sądzili, że się stają zawiązkiem jakiejś armii, która może zostać wkrótce groźną dla nieprzyjaciela potęgą, tymczasem przekonywali się i dowiadywali, że o tym ani marzyć nie mogą, że ich oczekują niebezpieczeństwa tem przykrzejsze, że znoszone na pojedynkę, że oprócz odwagi i poświęcenia żołnierzy potrzebną im będzie przebiegłość i ostrożność kontrabandzistów, że z życiem obozowem poplątane będzie życie błędne, awanturnicze, tułaczka po lasach i manowcach, przekradanie się po nocy bocznemi drożynami i ukrywanie się podczas dnia w wieśniaczych chatach, szlacheckich dworkach, gdzie bądź, gdzie można, gdzie się da.

Kilkoma słowy objaśnił ich pan Bartłomiej, że tak być musi. Potem Stanisław jako płatnik oddziału, zajął się zaopatrzeniem w pieniądze odchodzących, i w parę godzin później oddział partyzantów, który pod Gradowcami odniósł zwycięstwo, przestał już istnieć *de facto*, gdyż wyparto go potem za granicę.

Koniec części drugiej.

Więdnący kwiatek.

Siedziała schylona nad płótnem
I ręką migała wciąż białą
W milczeniu z westchnieniem pokutnem,
Co jej się z pod serca hen rwało.
W izdebce przewiewnej pod strychem
Od ranka do zmroku tak szyła...
Stal igły ślizganiem swem cichem
Jej myślom przelotnym wtórzyła.
I płótno swem suchem szemraniem
Wzdychało z tą piersią ściśnioną,
Aż wzbierał żal wielki tem łkaniem
Za złotą przeszłością minioną.
Zapuchłym od płaczu powiekom
Sen ulgę niósł w swoim uścisku,
Więc dzięki składała snu lekom
I spocząć szła w starem łóżczysku.
Przemijał tak dzionek za dzionkiem
I biegła noc w ślady za nocą.
Już wiosnę świat wita skowronkiem,
Już kwiaty po łąkach migocą.
A ona zajęta wciąż szyciem,
Nie słyszy odgłosów natury,
Więc ślęczy; to dla niej jest życiem...
Przez zimne nie dojrzeć nic mury.
A słonko swym złotym promieniem
Przewierca wyniośle miast gmachy,
W izdebkę zagląda ze drżeniem
Przez liczne kominy i dachy.
I roni swe ciepło nad kwiatem
Więdnącym na wydmach poddasza,
I duma nad pełnym nędz światem
Gdzie złota się tyle rozprasza.

A. W.

SĄD BOŻY.

Tłómaczył z angielskiego S. P.

TOM I.

(Ciąg dalszy.)

— Więc nie żyje? — wołała, patrząc z przerażeniem na twarze najbliżej stojących. — Czemu nikt mi nie chce odpowiedzieć?

— Pani Klimmer jest ciężko ranioną, — odezwał się nareszcie jakiś chłopak, — i doktorzy mówią, że nie ma nadziei.

Słowa te okropne na młodej dziewczynie wywarły wrażenie. Sina bladość pokryła jej twarz, ręce zacisnęły się konwulsyjnie, a oczy błędnego nieomal nabrały wyrazu. Pomimo to stała spokojna i wyprostowana, i usiłowała odzyskać panowanie nad sobą.

— Okropność, — szepnęła, jak gdyby mówiła sama do siebie. — Tylko nieszczęście wyniknie z tego!

Potem przypominając sobie, gdzie się znajduje, zwróciła się znowu do stojących obok niej kobiet.

— I to jakiś handlarz ma być mordercą? zapytała.

— Podobno, już go nawet aresztowano.

— Więc mają dowody jego zbrodni, rzekła zamyślona. I nie zważając już na otaczających weszła do domu pani Klimmer.

Byrd słyszał każde słowo dziewczęcia i pochylił się, aby lepiej twarz jej obejrzeć, ale w tej chwili właśnie znikła zręczna postać w sieni i drzwi się za nią zamknęły.

— Znacie tę panią? zapytał jednej z starych kobiet, jest że to krewna pani Klimmer?

Usta zapytanej wykrzywiły się dziwnie.

— Nie, odrzekła krótko, ani nawet jej znajoma.

Odpowiedź ta zdziwiła Byrda niezmiernie, to też postanowił od razu zbadać bliżej całą sprawę. Ale właśnie, gdy zamierzał iść za piękną dziewczyną do domu nieszczęśliwej, położyła mu owa stara kobieta rękę na ramieniu i dodała tajemniczo:

— Chciałam panu to jeszcze powiedzieć, że one nigdy się nie odwiedzały, ale znały się jednak, bo jakżeby się można nieznać w tak małem miasteczku.

Byrd nie słuchał dalej. Gdy wszedł do mieszkalnego pokoju pani Klimmer, ujrzał młodą dziewczynę stojącą przy stole, z oczami utkwionemi w drzwi pokoju jadalnego, a obok niej adwokata Orkuta.

— To nie jest miejsce dla pani, mówił tenże, czego szukasz w domu nieszczęścia i zbrodni? Idź lepiej do twego mieszkania, Iwono, gdy wrócę, opowiem ci wszystko dokładnie!

Głos jego brzmiał niezmierną czułością i serdecznością. Iwona spuściła oczy.

— Wiem, szepnęła, że nie mam prawa znajdowania się tutaj, ale nie mogę odejść, zanim nie zobaczę miejsca, na którem znaleziono we krwi tę biedną kobietę i narzędzie, którem ją morderca chciał zabić. Proszę, pokaż mi wszystko, panie Ferris!

Zdawało się, że nie wątpi ani na chwilę o tem, że życzenie jej zostanie spełnionem.

— Zapytam Tredwela, odrzekł Ferris, idąc do jadalni. Ale Iwona nie czekała na jego odpowiedź, tylko poszła prosto za nim i kazała sobie wszystko szczegółowo pokazać. Nikt jej się nie opierał, a ona też, ufna w potęgę swej piękności, nie szczędziła pytań. Adwokaci okazywali jej szacunek i uwielbienie, jeden tylko Orkut marszczył gniewnie czoło i zdawał się być niezadowolony jej obecnością.

— I to handlarz jakiś uczynił, zawołała po chwili. Nagle zadrżała, a Byrd, który z niej oka nie spuszczał, zauważył, że postąpiła szybko naprzód i posunęła nogę na dywan.

— Musiała coś tam zobaczyć, pomyślał. Czekał dopóki się schyli i podniesie znaleziony przedmiot, ale Iwona stała spokojna, starając się rozmaitemi pytaniami odwrócić uwagę adwokatów od swej osoby.

— Zdaje mi się, że ktoś puka do drzwi, zawołała teraz. Doktor Fredwel obrócił się.

— A pan nic nie słyszałeś? dodała, zwracając się do Ferrisa. Adwokat spojrzał także na drzwi, ale gdy Iwona spostrzegła, że Byrd śledzi każdy jej ruch, nie próbowała już dalszych podstępów.

Za drzwiami tymczasem toczyła się istotnie ożywiona rozmowa. Z gościńca, w którym chwilowo umieszczono handlarza, przyszedł posłaniec z oznajmieniem, że uwięziony, niezmiernie przerażony, przyznał się do złego czynu, to jest, że w domu, w którym dano mu obiad, ukradł kilka łyżek. Sądził on, że schwytano go za tę kradzież, ale o zbrodni, o jaką go posądzano, nie miał widocznie żadnego wyobrażenia.

Ferris był zadowolony.

— No, no, zobaczymy, rzekł, zacierając ręce, ale gdy Iwona chciała go znowu o coś zapytać, dodał prędko: Zdaje mi się jednak, że on nie jest mordercą.

Iwona drgnęła i mimowoli zbliżyła się do adwokata. Byrd skorzystał z tego, jednym skokiem stanął obok niej, schylił się i podniósł z dywanu kosztowny brylantowy pierścionek.

Iwona nie zauważyła wcale Byrda; z twarzą bladą przerażoną, patrzała na Ferrisa, jak gdyby nie rozumiała słów jego.

— Co pan mówisz? szepnęła ochrypłym głosem. Więc kto.... kto....

— O to właśnie chodzi, odrzekł Ferris, zdumiony jej trwogą.

— Uspokój się, pani, odezwał się teraz Orkut, po co wzruszać sprawę, która dla ciebie przecież żadnego nie ma znaczenia. Proszę, wróć pani do domu.

Dumne spojrzenie było całą odpowiedzią Iwony. Oczy jej spoczywały już to na jednym, już to na drugim z adwokatów, i zdawało się, że pragnie wyczytać z twarzy ich natajniejsze myśli. Szalony strach ogarnął jej serce.

— Wybacz pani, — rzekł nagle Byrd, dotykając lekko jej ramienia, — czy to pani własność?

Iwona i adwokaci spojrzeli na Byrda, w którego palcach błyszczał brylantowy pierścionek.

— Znalazłem go tutaj, mówił młody agent swobodnie, i wskazał na dywan.

Panowie zdumieli na widok kosztownego klejnotu, Orkut zacisnął nerwowo usta, Iwona zaś odzyskała nagle przytomność umysłu, jak zwykle wielkie charaktery w chwilach największego niebezpieczeństwa.

— Dziękuje panu, — odpowiedziała uprzejmie i wyciągnęła rękę po pierścionek. — Tak, to mój, spadł mi zapewne z palca, a ja wcale na to nie zważałam.

Zauważyła gniewne spojrzenie Orkuta i zarumieniła się, ale nie namyślając się ani chwili, wsunęła pierścionek na palec.

Byrd nie mógł tego pojąć, nie spodziewał się bowiem wcale, że Iwona przywłaszczy sobie tak spokojnie przedmiot, o którym wiedział napewno, że do niej nie należy. Zaniepokoiło go to bardzo, tem więcej, że adwokaci zdawali się nie widzieć nic w tem nadzwyczajnego, posiadał jednak tyle umiejętności panowania nad sobą, aby podejrzenia swego chwilowo nie okazać. Zły, że mu się próba nie powiodła, wrócił do mieszkalnego pokoju i stanął przy oknie.

— Pójdź pani, — rzekł Orkut do Iwony, — odprowadzę cię do domu. Nie możesz tu zostać dłużej!

Zanim Iwona zdołała odpowiedzieć, otworzyły się drzwi sypialni, i lekarz, czuwający przy pani Klimmer stanął na progu. Uroczysty wyraz jego twarzy oraz podniesiona ręka dowodziły, że zaszło coś nadzwyczajnego, to też wszyscy zadrżeli mimowoli.

— Porusza usta, chce mówić, — szepnął lekarz. — Cicho, cicho!

Obecni oddech wstrzymali i przerażająca cisza zapanowała w pokoju. I teraz dał się wyraźnie słyszeć głos umierającej, ale tylko dwa słowa można było zrozumieć:

— Pierścionek..... ręka.....

I potem znowu.

— Pierścionek..... pierścionek.....

— Boże Wielki! — krzyknął Ferris, biegnąc ku drzwiom.

— Cicho, — szepnął lekarz, — może przemówi jeszcze raz, czekajmy!

Głuche milczenie nastąpiło po tych słowach, ale zdawało się, że umierająca nic już nie powie. Lekarze stwierdzili, że popadła znowu w pierwotny stan zupełnej bezprzytomności, i wątpili, czy jeszcze raz otworzy usta. Ferris i Byrd odetchnęli swobodniej, a gdy się obejrzeli, zobaczyli Iwonę opartą bezwładnie o szafę, i Orkuta, wpatrującego się w nią z widocznym niepokojem. Czy twarz dziewczęcia wyrażała coś, co go strachem przejmowało?

— Wrócę do domu, — rzekła nagle cicho, zwracając się do Orkuta, — tutaj oszaleć można!

Orkut podał jej natychmiast ramię.

— Czekaj pan, — zawołał w tejże chwili Tredwell, — pani Klimmer porusza się znowu. Może nareszcie dowiemy się okropnej tajemnicy!

I znów słuchali wszyscy ostatnich słów umierającej, a były to słowa tak straszne, że dreszcz wstrząsnął członki mężczyzn. Iwona i Orkut odskoczyli od siebie, jak gdyby miecz obosieczny był upadł pomiędzy nich.

— Przeklinam go, — brzmiały słowa wdowy, — przeklinam złoczyńcę. Niechaj kara niebios dosięgnie go gdziekolwiek bądź idzie i stoi!

Obecni spojrzeli przerażeni na siebie; zdawało im się, widzą już karzącą rękę Boga, dotykającą głowy winowajcy. Iwona rzuciła się ku drzwiom i uciekła na ulicę, zanim Orkut odzyskał o tyle przytomność, że mógł podążyć za nią.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Zaczęty list.

— Zechciej mi pan powiedzieć, kto jest ta pani? zapytał teraz Byrd Ferrisa.

Orkut, nie znalazłszy już Iwony, wrócił właśnie do pokoju,

— To jest panna Iwona Dare, odrzekł Ferris przytłumionym głosem, najpiękniejsza w mieście dziewczyna. Powiadają, że zamierza wyjść za mąż, za....

Mówiąc to spojrzał znacząco na Orkuta i umilkł.

— Doprawdy! zawołał Byrd zdziwiony. Orkut, na którego patrzał dotąd jak na sławnego adwokata, wzbudził w nim w tej chwili nowe zupełnie zajęcie.

Adwokat Orkut był przystojnym, chociaż nie pierwszej już młodości mężczyzną, liczył bowiem około lat czterdziestu. Niezbyt wysoki, jasnowłosy, o twarzy bladej i żywych oczach, przedstawiał człowieka z najlepszego towarzystwa i chociaż doktor Tredwell o wiele był piękniejszym, a Ferris wyższym, to jednak wytworne maniery i cała istota Orkuta wywierały korzystniejsze wrażenie. Byrd zrozumiał też bardzo dobrze, że Iwona mogła takiego, jak on, pokochać człowieka.

— Zdaje się, że panna Dare szczerze się zajęła losem biednej pani Klimmer, zauważył znowu.

— Jak każda kobieta! Ale z niej nie można być mądrym, raz okazuje więcej uczucia, niż by się spodziewano, raz mniej!

— Podług mego zdania, rzekł Orkut zbliżając się do rozmawiających i rzucając niechętne spojrzenie na Byrda, byłoby lepiej, aby się tą sprawą jaknajmniej osób zajmowało!

— Pozwól pan, przedstawię ci pana Byrda, odparł Ferris natychmiast. Stoi on w służbie tajnej policyi i pomógł mi w wyjaśnieniu sprawy, która się toczyła dziś przed sądem.

— Ah, więc pan jesteś detektiwem! Szkoda, że zajęcia pańskie nie pozwalają ci na szukanie mordercy pani Klimmer.

I skinąwszy lekko głową poszedł Orkut do pokoju, w którym leżała umierająca. Byrd domyślił się, że obecność jego nie była tu pożądaną, chciał więc pożegnać Ferrisa i wrócić do swego mieszkania. Zanim jednak pierwsze wymówił słowo, ujrzał Tredwella, zbliżającego się szybko ku niemu.

— Pójdź pan, — rzekł lekarz, potrzebuję twej pomocy.

Byrd spojrzał pytająco na Ferrisa, a gdy tenże pochylił głowę na znak potwierdzenia, udał się za doktorem do kuchni, której drzwi starannie zamknął.

— Obecność pana tutaj bardzo mi jest potrzebną, zaczął zaraz coroner*). Chcesz być pomocnym sądowi w odkryciu mordercy.

— Nie jestem panem mej woli, odpowiedział Byrd. a w sercu jego zbudziła się nagle wielka niechęć do całej tej sprawy. Muszę słuchać rozkazów moich przełożonych, a zresztą przyrzekłem panu Ferris...

— Ferris jest rozsądnym człowiekiem, przerwał lekarz, on nam żadnych trudności nie będzie stawiał,

Ale Byrd wahał się jeszcze.

— Nie mam pozwolenia z Nowego-Yorku, dodał.

— O to mniejsze. Zatelegrafuję po nie zaraz.

— Zdaje mi się, że sprawa ta nie jest dosyć ważną. Tutejsza policya wystarczy. Zamordowano kobietę wśród jasnego dnia, i domniemywany morderca znajduje się pod kluczem.

— Więc pan sądzisz zawsze jeszcze, że ów handlarz jest zbrodniarzem? zawołał Tredwell, rozgniewany obojętnością Byrda.

— W każdym razie jestem przekonanym, że człowiek, którego widziałem podczas całego posiedzenia sądowego na sali, jest niewinnym.

— Musiał on mieć dziwny jakiś urok dla pana, rzekł lekarz, uśmiechając się ironicznie.

— Inni świadkowie mogą pewnie także stwierdzić jego ciągłą na sądzie obecność, zawołał Byrd obrażony.

Rozmowa z doktorem zaczynała go już na dobre niecierpliwić.

— Niech będzie jak chce, — odezwał się znowu Tredwell, — czy ów garbus jest czarodziejem, czy zabił panią Klimmer, czy nie, to sprawa ta nie jest tak łatwą, jak się panu zdaje. Mieszkańcy miasta nie wiedzą, że wdowa miała jakiegoś nieprzyjaciela, ale ona wiedziała o tem bardzo dobrze, dowodzi tego list zaczęty, który znalazłem na stole, w jej sypialni. Może być, że handlarz chciał ją zabić, lecz właściwego sprawcy zbrodni gdzieindziej szukać trzeba.

Oczy Byrda zabłysły — teraz sprawa zaczynała go interesować. Pomimo to nie wyciągnął ręki po papier, który mu doktor podawał.

— Jeżeli nie zajmę się tem, — rzekł, — to lepiej, abym się nie mieszał . . . . .

— Ale pan zajmiesz się wyjaśnieniem morderstwa, — przerwał coroner stanowczo. — Napiszę zaraz do Newyorku . . . . . zbrodnia ta nie może ujść bezkarnie! Jestem pewnym, że otrzymam pozwolenie zatrzymania pana tutaj!

— Kto wie! W naszem biurze jest dużo wytrawnych tajnych policyjantów, może przełożony uzna, że ja nie mam jeszcze dosyć doświadczenia i przyśle innego.

— Zobaczymy. Tymczasem przeczytaj pan ten list!

Byrd wziął teraz ćwiartkę papieru i przeczytał głośno:

— Kochana Emiljo!

— Nie wiem właściwie czemu dziś do ciebie piszę. Mam dużo zajęcia, i przed obiadem nie piszę nigdy, ale boję się czegoś i czuję się bardzo opuszczoną i samotną. Nic mi się nie powodzi, i dziwny jakiś strach nie opuszcza mnie ani na chwilę. Może jestem chora. Daremnie powtarzam sobie, że ludzie, szanowani ogólnie, nie są zdolni do popełnienia zbrodni. A jednak jestem pewną, że wiele osób życzy sobie mojej śmierci, dlatego żyję w ciągłej trwodze i mam takie przeczucie, że . . . . .

— Umrę gwałtowną śmiercią, — dokończył Tredwell, gdy Byrd przestał czytać.

— Chodzi tu pewnie o jaką tajemnicę familijną, — szepnął młody policjant. — Możeby pan Orkut, który znał ją oddawna, mógł nam udzielić wskazówek . . . . .

— Może, ale ja nie chciałbym go pytać, on bowiem podejmie się bez wątpienia obrony zbrodniarza. Nie może więc brać udziału w śledztwie przedwstępnem.

Byrd spojrzał badawczo na lekarza, zdawało się, że powziął jakieś niezłomne postanowienie.

— Nie przyszło panu na myśl, — że pan Orkut mógłby mieć inne jeszcze powody zatajenia swego zdania o tej sprawie? Owa panna Dare, — mówił dalej, nie zważając na zdumioną twarz doktora, — zdawała się być tak okropnie tą zbrodnią wzruszona, że właściwie przez sam wzgląd na nią powinien się pan Orkut zupełnie od wszystkiego usunąć.

— Co pan myślisz! Zajęcie panny Dare jest tylko ciekawością, jakiej dobrze wychowana dziewczyna nie potrzebuje tak bardzo zdradzać. Ale my ją wszyscy znamy. Przecież nie chciałeś mi dać do zrozumienia, że podejrzywasz ją o jakąś styczność z tym okropnym wypadkiem?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

*) Lekarze sądowi w Anglii. t. zw. „coronerzy“ zastępują w razie potrzeby sędziego śledczego.

Kronika.

Komisarz obwodowy zakazał Sokołom wycieczki do Zaniemyśla!

W czasie, kiedy wszyscy uciekają w wolnym czasie po za mury miasta i jedynie wróble pieką się w lipcowym ukropie rozpalonych murów miejskich, Sokołom odmawia się wycieczki w wiejskie ustronia. Ba! Gdyby to był sokół — ptak — byłoby co innego, lecz to Sokół — Polak, więc im w imię zagrożonego ładu można dopiec. Tyle razy już zastawiały się rozmaite władze, zakazując rozmaitych wycieczek pozorem zakłócenia porządku, a nigdy go nie zakłócono, to też ten motyw zakazu jest już aż nadto dobrze zużyty i należałoby pomyśleć o innym. Tym motywem władze zasłaniać się dziś nie mogą, bo odbyło się już sporo zlotów i zabaw sokolich i właśnie te wszystkie zloty i zabawy wzorowym odznaczały się porządkiem. Władze jednak szczególniejszą opieką otaczają Sokołów, chociaż Towarzystwo to działa zawsze otwarcie i udowodniło już nieraz, że jedynym celem jest gimnastyka czyli ćwiczenie ciała. Lecz tutajsi urzędnicy ciągle szukają u Sokołów czegoś, czego niema.

Na wsi kosa już zabrzękła, *a gdzie nie starczyło na kosę, tam musiało starczyć na żniwiarkę.* Brzmi to trochę paradoksalnie, bo kosa przecież tańsza od żniwiarki — i to bardzo znacznie tańsza. Lecz cóż — kiedy do kosy nie ma dostatecznych rąk — a do żniwiarki zaprzężesz parę koni, wsadzisz woźnicę na kozioł i usieczesz najmniej tyle co 5 kośników. Dlatego mam racyę mówiąc, że gdzie na kosę nie stać, tam na żniwiarkę starczyć musi. Przy tej sposobności zwrócę uwagę na sprawę, którą w codziennych pismach niejednokrotnie już omawiano. W czasie żniw daje się żniwiarzom wódkę — a tym co należą do bractw wstrzemięźliwości tak zwane „winno“. Nomen-omen to „winno“, wielu złym rzeczom winno, boć one zdaniem mojem mniej zdrowe niż gorzałka. Ale jedno i drugie skasować by należało. Pokrzepienia żniwiarzom odmawiać nie można, ale czyż więcej nie pokrzepi i lepiej nie ugasi pragnienia kawa i herbata zimna?

Z wielu stron zalecają „herwa mate,“ czyli herbatę brazylijską. U nas bodaj kto tego napoju próbował, a spróbować warto.

Przypominam sobie, że centralne Tow. rólnicze zalecało ten napój, ale mówiono o tem, pisano przez pewien czas, jak to u nas zwykle bywa, i potem znowu wszystko ucichło. Ponieważ teraz czas żniw, a „Praca“ w domach ziemiańskich bardzo rozpowszechniona przypominam o tem.

Z letnich mieszkań otrzymałem list od jednej z czytelniczek „Pracy“ zajmującej się żywo polityką, a że Chiny są obecnie osią, około której wszystko się obraca, więc zadaje mi szanowna letniczka takie pytania: „Czy to prawda, szanowny Verusie, że w Chinach panuje taka niemoralność?“

„Czy to prawda, że Chinki pomimo krzywych oczu mają być bardzo przystojne i zalotne?“

„Czy to prawda, że Chińczycy flirtują zawieszeni warkoczami na gałęziach drzew herbacianych?“

Na to wszystko odpowiem: „Nie wiem, a sprawdzić nie mogę bo między innymi zginął w okropnej rzezi w Pekinie nasz korespondent, obywatel państwa „niebieskiego“, póki żył, a po śmierci nie wiem, czy do „*królestwa niebieskiego*“ się dostał.

Był to bowiem Chińczyk, słabo nawrócony na chrześcijaństwo nazywał się: Ver-Us-Wasz-Nie-Zna-Chin — bardzo ładne nazwisko nieprawda? Zazwyczaj chodził za życia w żółtym kaftanie.“

Z Paryża donoszą mi że wyrabiają tam suknie ze słomy. — Czemu nie? — Na lato przepyszna rzecz. Materye te powinien sprowadzić czemprędzej pan Marweg, albo pan Eichstaedt lub który inny z naszych bławatników. Przypuszczam, że materye te będą trwałe. Jeżeli chłopi chodzą po kilka lat w słomianych kapeluszach, a słomiana strzecha na stodołach i chałupach aż mchem porasta, to słomiany materyał na suknie może być niezmiernie trwały. I pewnie pierze się dobrze. Tylko z prasowaniem będzie gorzej!....

Czego też ci Francuzi nie wymyślą, ale dla Kroniki w czasie ogórkowym wszystkie tego rodzaju wiadomości bardzo pożądane. *Verus.*

Nasze illustracye.

Pałac letni cesarzowej chińskiej w Pekinie i most „Lo-kuo-tsze-tchias.“ Illustracya zamieszczona na stronie 767 przedstawia pałac letni „Wan-szou-szan“ cesarzowej chińskiej, który przed 10ciu laty na nowo odbudowano po zburzeniu go prawie zupełnem podczas wojny w jesieni 1860 r.; spalone drzewa na przodzie świadczą jeszcze wymownie o dokonanej wówczas dewastacyi. Most zbudowany w kształcie garbu wielbląda (Lo-kuo-tsze-tchias), wiodący do wzmiankowanego pałacu, położony jest w bezpośredniej blizkości strumyka wypływającego z jeziora Kunming-Lu.

Kat Diederich. Sienkiewicz w najnowszej swej drukującej się obecnie znakomitej powieści historycznej p. t. „Krzyżacy“ charakteryzuje i opisuje kata Diedericha.

Jest to ów kat, który z rozkazu jednego z Krzyżaków odciął Jurandowi, jeńcowi Krzyżaków, w więzieniu rękę, wyłupił mu oczy i wyrwał język.

Obok illustracyi zamieszczamy portret artysty malarza p. Michała Sozańskiego. (Patrz illustracye na stronie 770.) *R.*

†

Nekrologia.

Sp. ks. Teofil Zawadzki, proboszcz w Bukownicy, umarł nagle, tknięty paraliżem, w 70tym roku życia. Zgasły kapłan urodził się roku 1830., wyświęcony został 1855 roku. Żywot jego był obfity w dzieła miłosierdzia i skrzętnej choć cichej pracy pasterskiej i obywatelskiej. R. i. p.

* * *

Ś. p. dr. Danielewicz. W pełni męzkiego wieku umarł w Poznaniu w zeszłym tygodniu dr. Edward Danielewicz z Sierakowa. Zmarły znany był szerszemu ogółowi jako lekarz bardzo sumienny, obywatel wzorowy i Polak gorący. Sam mało wymagający i bardzo dla siebie surowy, upatrywał przedewszystkiem w alkoholiźmie źródło złego dla naszego społeczeństwa i słowem i piórem zwalczał radykalnie to złe. Wydał kilka broszur przeciwko alkoholizmowi, a także w innych pracach obywatelskich zawsze żywy brał udział. Cześć jego pamięci!

* * *

Śp. Władysław Różycki, syn śp. Teofila Różyckiego, a brat zmarłego niedawno śp. Franciszka, inżynier fabryki H. Cegielskiego w Poznaniu, umarł 8go bm nagle w skutek dyfteryi, jaką nabył przy pielęgnowaniu własnych dzieci, na tę samą chorobę zapadłych. Ani troskliwa opieka żony, ani pomoc najznakomitszych lekarzy nie były w stanie człowieka w sile wieku, który zaledwie 33 lat ukończył, od nieubłaganej śmierci uratować. Nieboszczyk, poświęciwszy się przemysłowi, przeszedł twardą szkołę życia, zwalczał z prawdziwie spartańskiem zaparciem siebie wszelkie trudności, a przepędziwszy kilka lat na obczyźnie w Gassen, w fabryce Frostera, zapragnął wreszcie powrócić między swoich, głównie w tym celu, aby dzieci wychować w duchu narodowym. Sposobność do tego nadarzyła mu się przy zmianie stosunków fabryki Cegielskiego w Poznaniu; bo uzyskawszy chlubne polecenia od swego poprzedniego pryncypała, dostał się z łatwością na stanowisko, które do dziś zajmował. Traci więc w nim nasze społeczeństwo siłę, którą nie tak prędko kto inny zastąpi. Ciężko Bóg dotknął tym ciosem żonę, dwoje sierót i niepocieszoną zacną matkę, która w niespełna dwóch miesiącach straciła dwóch dorosłych synów, Franciszka poprzednio a teraz Władysława. W tak bolesnych wypadkach trudno słać słowa pociechy, czas tylko ukoić może boleść i to przeświadczenie, że z żoną i matką na równi tę boleść współczują przyjaciele i znajomi. R. i. p.

* * *

Sp. ks. Klemens Winiewski, proboszcz w Panigrodzie, umarł 15go bm. w 57ym roku życia swego. Tak wcześnie zgasły kapłan urodził się 1843 r., nauki gimnazyalne ukończył 1867 r., a poświęciwszy się teologii, wyświęcony został na kapłana 1872 r. Był to mąż charakteru prawego i szlachetnego, gorliwy w duszpasterstwie i nader czynny w pracach obywatelskich. Nie szukając dalekiego rozgłosu, cieszył się ogólną sympatyą swych konfratrów, szacunkiem obywatelstwa i serdeczną miłością swych owieczek. R. i. p.

i w mieście zobowiązany do przyjęcia abonamentu, który wynosi na kwartał

tylko 1 markę.

Kto więc dotąd „Pracy“ nie zapisał, niech wpłaci na poczcie bezzwłocznie

tylko 1 markę,

a dostawać będzie pismo nasze do końca kwartału w każdą niedzielę.

Pierwsze numera z bieżącego kwartału dostarczymy każdemu nowo przybyłemu abonentowi za nadesłaniem na porto znaczka listowego dziesięciofenygowego.

„Praca“ zapisaną jest na poczcie pod rubryką II t. Nr. 86.

Jeszcze w bieżącym miesiącu załączymy do „Pracy“ piękne obrazy albumowe, a między niemi Herb Polski w kolorach, Polonię Styki i obraz Kościuszki. Każdy z tych obrazów przewyższy wartość abonamentu.

Początek drukujących się powieści, mianowicie „Krwawy chrzest“, „Sąd Boży“ itd., otrzyma każdy nowoprzybyły Czytelnik bezpłatnie, jeżeli nam nadeśle kwit abonamentowy z poczty i 30 fen. w znaczkach na porto.

Wszystkich tych Czytelników, którzy reklamują u nas zaległe numera „Pracy“, upraszamy o przysłanie na porto znaczka listowego dziesięciofenygowego.

Wciąż można jeszcze zapisywać

„Czytelnię Polską“,

która kosztuje kwartalnie

tylko 50 fenyg.

W Galicyi i wogóle w Austro-Węgrzech

30 centów,

(a pod opaską 1 mr. czyli 60 cent.)

„Czytelnia Polska“ zapisaną jest na poczcie pod rubryką „Nachtrag 5 t. 13 a.“

Kto raz „Czytelnię Polską“ zaabonuje, ten zostanie już stałym jej czytelnikiem.

„Czytelnia Polska“ wychodzi

co tydzień

w formacie książki w objętości 24—32 stron i więcej, z pięknemi illustracyami i t. d.

Wszystkie zaległe zeszyty „Czytelni Polskiej“ od 1-go lipca otrzyma każdy nowoprzybyły Czytelnik bezpłatnie jeśli nam nadeśle kwit abonamentowy z poczty i znaczek dziesięciofenygowy na porto.

Pierwszy kompletny kwartalnik „Czytelni Polskiej“ otrzyma każdy z nowoprzybyłych Abonentów, jeżeli nam nadeśle w znaczkach pocztowych 70 fenygów franko.

Nowo przybyli Abonenci na „Czytelnię Polską“, zamieszkali w Galicyi i wogóle w Austro-Węgrzech, niech zechcą nadesłać na pierwszy kompletny kwartalnik „Czytelni Polskiej“ franko do Administracyi „Czytelni Polskiej“ w Poznaniu, ulica Rycerska nr. 38, 35 centów w pieniędzach, gdyż znaczków austryackich zużyć tutaj nie możemy.

Wiadomości.

Wieś rycerską Przedborów w powiecie witkowskim, należącą od 25 lat do pani Emilii Gottchalk, nabył za pośrednictwem firmy „Drwęski & Langner“ — Centralnej agentury dóbr w Poznaniu — pan Antoni Gintrowicz.

Jest to już drugi majątek w powiecie witkowskim, który w ciągu tygodnia za pośrednictwem firmy „Drwęski & Langner“ z rąk niemieckich przeszedł w ręce polskie.

Nabywcy „Szczęść Boże.“

Wiadomości kościelne. Radzcami duchownymi ad honores w uznaniu gorliwości około budowy domów Bożych mianował Najprzewielebniejszy ksiądz Arcybiskup księży proboszczów Kolasińskiego w Jeżycach, Dolnego w Pakosławiu i Sypniewskiego w Janówcu. Ks. dziekana Echausta w Ryszewku mianował ks. Arcypasterz kanonikiem kolegiaty kruświckiej.

W Pakosławiu w Poznańskiem poświęcił Najprzewielebniejszy ksiądz biskup Likowski w ubiegłą niedzielę nowy kościół. Na akt ten uroczysty zjechało przeszło 60 księży z Wielkiego Księstwa Poznańskiego.

Ksiądz Władysław Meszczyński, kapelan J. E. Kardynała Ledóchowskiego i kanonik przy tutejszej archikatedrze przybył do naszego grodu w zeszłym tygodniu i zabawi tutaj kilka tygodni.

Program obchodu jubileuszu Sienkiewicza w Warszawie został już określony. Oto w dniu na obchód ten przeznaczonym, odprawione ma być w kościele archikatedralnym św. Jana solenne nabożeństwo dziękczynne, które celebrować będzie prawdopodobnie prezes komitetu jubileuszowego ks. biskup Ruszkiewicz. Na nabożeństwo to komitet roześle zaproszenia do przedstawicieli świata literackiego, artystycznego, prasy i inteligencyi. Następnie tegoż dnia odbędzie się uroczyste wręczenie Sienkiewiczowi daru jubileuszowego, składanego w hołdzie wielkiemu pisarzowi przez wdzięcznych ziomków. Aktu tego dopełni również komitet jubileuszowy w sali ratuszowej, w obecności osób zaproszonych. Dar ten jubileuszowy stanowi majątek ziemski Oblęgorek pod Kielcami. Komitet poczyni starania, ażeby nazwę „Oblęgorek“, wiejskiej siedziby Sienkiewicza, zmienić na tyle popularny Krzemień z jego „Rodziny Połanieckich“.

Oblęgorek jest folwarkiem jakby stworzonym dla artysty pisarza, nie mającego możności poświęcać się rolnictwu. Po zaprowadzeniu w lasach gospodarstwa prawidłowego, co wymagać będzie odpowiedniego uzupełnienia przestrzeni leśnej do 240 morgów (wyrąb 4 morgowy co 60 lat), pozostanie tam ziemi ornej 150 morgów i łąk 90, t. j. tyle, ile przy nie wielkim nakładzie pracy wystarczyć może na opędzenie kosztów dozoru i utrzymanie budowli.

Istnieje za to w Oblęgorku przepyszny 30 morgowy park, nad który piękniejszego trudno znaleźć w kraju, a malowniczość okolicy i jej zaciszność w połączeniu z tym parkiem i domem wygodnym stanowi wartość największą dla takiego rolnika, jak Sienkiewicz, który tam się sprowadzi ze skarbami swojej wyobraźni i geniuszu artystycznego.

Na fundusz jubileuszowy dla Józefa Chociszewskiego nadesłało w dalszym ciągu Kółko śpiewackie z Raciborza 5 mk. Razem złożono dotąd 129 mk. 23 fen.

Dalsze datki na cel powyższy przyjmujemy chętnie.

Na fundusz jubileuszowy Henryka Sienkiewicza złożyło w dalszym ciągu Kółko śpiewackie z Raciborza 5 mk.

Dalsze składki na ten cel przyjmujemy chętnie.

Slub. W czasie walki kulturnej ochrzcił ks. wikaryusz Warmiński w Buku między innemi także Henryka Suchowiaka. Za tę świętą czynność wywieziono go dnia 17 go lipca 1876 r. z parafii i skazano na kilkoletnią tułaczkę, aż się doczekał zniesienia praw majowych. Tego samego dnia, w ubiegły wtorek, pobłogosławił na mszy świętej w kościele farnym w Poznaniu tenże ksiądz, obecnie prałat dr. Warmiński, wiceregens seminaryum duchownego, związek małżeński bratanki swej, panny Maryi Warmińskiej z Bydgoszczy, z tymże panem Henrykiem Suchowiakiem, obecnie inżynierem rządowym z Inowrocławia. Młodej parze zasyłamy „Szczęść Boże“, a Przewielebnemu Księdzu Celebransowi życzymy, aby Mu Pan Bóg hojnie wynagrodził dawniejsze niezasłużone cierpienia.

Cieszące się względami publiczności Atelier fotograficzne „Iris“ w Poznaniu, przy ul. Wilhelmowsklej 11 w ogrodzie nabył od p. K. Rożańskiego p. Jan Maćkiewicz, którego polecamy względom naszych Czytelników. — (Patrz ogłoszenie.)

Na inserat z ryciną, przedstawiającą „Myszą wieżę“, rodaka naszego p. M. Degórskiego w Kruświcy, zwracamy baczną uwagę Czytelnikom naszym, mianowicie Towarzystwom urządzającym zbiorowe wycieczki do Kruświcy. Na ten cel bardzo się nadaje piękny ogród p. D. z kręgielnią i salą do tańca, położony przy jeziorze Gople, po którem lubownicy sportu wodnego przejechać się mogą na łodziach przez p. D. stawionych dla gości do dyspozycyi.

Zwracamy uwagę Szan. Czytelnikom na zamieszczany stale anons krotoszyńskiej firmy M. Szczepaniak i Spł., znanej ze swej rzetelności i dobrej renomy. Firma ta poleca między innemi ozdobne regulatory własnego nakładu. z polskim orłem u góry. Taki regulator powinien się w każdym polskim domu znajdować. Cena bardzo przystępna.

Zabawa latowa tutejszego Towarzystwa młodzieży kupieckiej odbędzie się w niedzielę, dnia 22-go lipca po południu w ogrodzie p. Piotrowskiego w Urbanowie. Program zabawy, połączonej z grą fantową, bardzo urozmaicony. Od godziny 3-ciej kursować będą do Urbanowa omnibusy z placu Sapieżyńskiego.

Spółka stolarska w Swarzędzu w powiecie poznańskiem ma na składzie wielki wybór mebli własnego wyrobu po najtańszych cenach. Na odnośny stale zamieszczany w „Pracy“ anons zwracamy baczną uwagę naszym Szanownym Czytelnikom.

Roździeń, (Górny Ślązk). Baczność! W niedzielę dnia 22 go bm. po poł. o godzinie

2-giej odbędzie się na sali p. Reich'a walne zebranie towarzystwa gimn. „Sokół“. O udział jak najliczniejszy — ponieważ pod obrady ważne sprawy i obór nowego zarządu przyjdą — uprasza zarząd. Czołem!

Prośba. Jeden z Czytelników naszych prosi o wskazanie średniego miasteczka lub wielkiej wioski, gdzieby się mógł z korzyścią osiedlić jako bławatnik z średnim kapitałem. Informacye prosimy nadesłać do Redakcyi „Pracy“.

Gniezno. Na subhaście z konkursu pana Z. Ballenstedta nabyli panowie Jan Fortuński z Gniezna i G. Ritter z Poznania kamienicę przy ulicy Nollaua za 48.000 m.

Szamotuły, 11-go lipca. Bank Parcelacyjny w Poznaniu na Piekarach kupił wczoraj folwark małżonków Hermana i Wilhelminy Sieling za 150.000 mk. Jestto jeden z najśliczniejszych folwarków naszej okolicy, którego grunta przytykają do ulic miasta, gdzie mnóstwo placów budowlanych. Dziś już przybył administrator bankowy do objęcia folwarku, a niebawem rozpocznie się parcelacya.

Od Redakcyi.

Panu M. Stab. w Tworz. Żałujemy, ale ze względów prasowych nie możemy zamieścić nadesłanego wiersza.

Panu Dr. Kar. w T. Od wydawnictwa tego odstąpić musieliśmy, gdyż nie pokryłoby nawet kosztów nakładu. Teczkę taką najlepiej zamówić u miejscowego introligatora.

Panu S. Bor. w Świętochłowicach. Udaj się Pan do księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu z odwołaniem się na „Pracę“.

Pan L. Bełtowski, Nowy Targ, (Galicya). Pieniądze otrzymaliśmy i zaległe numera zostały wysłane. Prosimy o doniesienie nam czy dotychczas nie nadeszły, a takowe powtórnie wyślemy.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ **Wincenty Szmytkowski.**

409

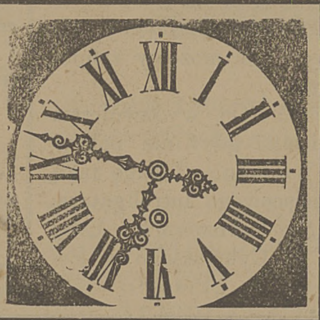
K. SUPPERT

Poznań, Św. Marcin nr. 19, narożnik ulicy Rycerskiej.
2-gi skład Poznań (Jerzyce), ulica Jadwigi nr. 5.

Fachowy warsztat reparacyjny.

Potrzebny uczeń.

Odebrał świeżo i poleca
wielki
wybór zegarków
złotych, srebrnych, metalowych z najlepszych fabryk szwajcarskich, regulatorów i zegarów salonowych, budzików oraz łańcuszków złotych, srebrnych i niklowych.
Gwarancya kilkoletnia.



Złote i srebrne repetjery.

Dział wyrobów złotniczych
zawiera **najmodniejsze przedmioty** z srebra, złota i double jako to: garnitury damskie, broszki, kolczyki, bransoletki, kolje, krzyżyki, špilki w krawat. — **Biżuteryą koralową, granatkową** itd. Pierścionki z brylantami, szafirami, rubinami lub turkusami w rozmaitych fasonach i cenach, oraz bardzo wiele przedmiotów, stósownych na **podarki okolicznościowe.** 270
Obrączki ślubne.
Ceny bardzo umiarkowane. Usługa skora i rzetelna gwarancya.

Piekarnia

wraz z pomieszkaniem, od kilku lat istniejąca, jest pod korzystnemi warunkami od 1 października r. b. na ożywionej ulicy Wolsztyna do wynajęcia. Można także każdy inny interes założyć. Skład jest z wystawnem oknem. Bliższych szczegółów udzieli
J. Tuszewski,
Wolsztyn, Wollstein.

Mam do parcelacyi
gospodarstwo
na mniejsze i większe części od 1/4 morgi i większe podług życzenia. Zgłoszenia przyjm.
Fr. Rostkowski,
p. adr. Węglarz,
Wielka Starołęka, poczta Mała Starołęka p. Poznaniem.

Wspólnika

z kapitałem około 15-tu tysięcy mk. celem powiększenia interesu poszukuje się do przedsiębiorstwa przemysłowo-kupieckiego, świetnie prosperującego, z bardzo dobrą i liczną klientelą w większem mieście Ks. Poznańskiego. Chwilowy obrót 50 tysięcy mk. Firma znana i dobrze zaprowadzona. Znajomość branży nie potrzebna. Zgłoszenia przyjm. ekspedycya „Pracy" pod nr. **400.**

Szukam zaraz **zadzierżawienia oberży.** Proszę o podanie ceny. Zgłoszenia uprasza **F. Rajek,** Czarnków (Czarnikau), Kietzstrasse nr. 115.

Dom. Osiek pod Kościanem ma do wydzierżawienia
sad owocowy, aleje wiśniowe i potrawy,
również ma na sprzedaż **woły robocze i kilka par koni.**

Dom narożny z ogrodem przy parku miejskim, stosowny do założenia szynku lub jakiego innego przedsiębiorstwa, jest zaraz na sprzedaż. **J. Kałata,** Ostrów (Ostrowo Bez. Posen), ulica Gimnazyalna 7.

Lokal

z składem i wyszynkiem piwa i wódek w rynku, najbardziej ożywionem miejscu, jest od 1-go października r. b. do wydzierżawienia. 394
Zgłoszenia przyjmuje
M. Borowicz
Browar w Krotoszynie.

Ucznia

z dobrem wychowaniem przyjmie do handlu kolonialnego i destylacyi 398
L. Siemianowski
w Strzelnie.

Biegłą
sprzedawaczkę
do handlu korzennego poszukuje zaraz
Klemens Wróblewski
w Kostrzynie.

KARTY WIZYTOWE
100 sztuk od 1,50 Mr. począwszy wykonuje i odwrotną pocztą wysyła
DRUKARNIA „PRACY"
Poznań, Rycerska ulica Nr. 38.
Telefon Nr. 295.

Spółka Stolarska
w Swarzędzu
poleca swój 411
wielki
magazyn mebli
z dobrego materyału i własnego wyrobu.
Ceny przystępne.
Usługa skora.
Najtańsze źródło zakupna dla sprzedających z drugiej ręki.

Liszaje
wyrzuty skórne zawsze się pokazują po użyciu złego mydła. Dlatego proszę używać jedynie Dr. Kuhna mydła siarczano-mleczno-glycerynowego 50 i 80 fen. — **Kuhn'a proszek przeciw wypadaniu włosów, wolny od trucizny,** jest najlepszym. Prawdziwe tylko u Fr. Kuhn'a, skład perfumów pod koroną, Norymbergia. Tutaj u M. Levy'ego, drogerya. plac Piotra 2 i u P. Wolffa, drogerya, pl. Wilhelmowski 3. 1061

„Każdy chory"
odzyska całkowicie swoje utracone zdrowie, za dokładnym opisem swej choroby. — Listy uprasza się w wszelkiem zaufaniu nadesłać pod lit. **T. D. 409.** do eksped. „Pracy". Ręcząc ścisłą dyskrecyą. 409

Kołdry
(Steppdecken)
w bardzo wielkim wyborze rozmaitego gatunku, koloru i w pięknych deseniach nabyć można tylko ***w pierwszej wiedeńskiej fabryce kołder***
R. Bild'a
a nie w żadnym innym składzie. Przerabiam kołdry najdokładniej, mając w tym celu na składzie wielki wybór materyi. 43
R. Bild'a
pierwsza wiedeńska fabryka kołder, **Wrocław, Breslau, Schmiedebrücke Nr. 55.**
Wchód: Kupferschmiedestr. I drzwi, I piętro.

Tylko kapsułki Sanidowe
(10 gr. San., 3 Sal., 3 Cub., 1 Terpinol) skutkują natychmiast i bez rycydywy przy upławach, katarze pęcherza i t. d. (Żadne wstrzykiwanie.) Cena **3 mk.** za flaszkę. 1057
Skład główny: **L. Hofmann,** apteka, Schkenditz — Lipsk.
W Poznaniu: **Czerwona Apteka, Rynek 37.**

Smyrneńskie
wyroby ręczne
i 1025
dywany smyrneńskie
cenniki darmo i franko.
Fabryka wełny
Wilh. Lau, Arnswalde.
W zamian daję przędzę smyrneńską za wełnę owczą.

Fabryka mydeł
domowych, technicznych i toaletowych
(jedyna istniejąca polska) jest
St. Żychlińskiego
w Gnieźnie.

Pensyonat dla uczennic.
Troskliwa opieka, pomoc w naukach. Język francuzki i niemiecki w codziennem użyciu.
M. Gońska, 405
Bydgoszcz, ul. Dworcowa 7. II.

Panna
Polka, 38—45 lat, nieposzl. przeszł., z majątk. w gotówce najm. 3000 mk., mająca chęć wyjścia za starsz. kaw. z lepsz. domu, niech raczy łask. celem bliższ. porozum. podać swój adres w zamk. kop. z napis: **„Hymen 1900"** do ekspedycyi „Pracy".

Pokój meblowany
dla 2 panów, z stołowaniem 50 mrk. miesięcznie, od 1-go lipca do wynajęcia.
Poznań, ul. Długa 11,
parter na prawo.

Hyacynty
w dziesięciu kolorach
(prawdziwe haarlemskie) mianowicie 2 białe, 2 czerwone, 2 niebieskie, 2 żółte, 1 różowy, 1 purpurowy po 1,50 mk. do doniczek po 2 mk. do naczyń szklanych. Szczególniej polecam moje słynne **hyacynty z nazwiskami** i to 10 sztuk w dziesięciu przepysznych gatunkach do doniczek po 3 mk., do naczyń szklanych po 4 mk. **Hyacynty z nazwiskami są najlepsze!** Broszurkę moją, ozdobną w piękną kolorową rycinę, przedstawiającą hyacynty, dołączam gratis do zamówień, bez zamówienia za nadesłaniem **30 fen.** 420
Friedr. Huck w Erfurcie (Erfurt 27 e).
Adres telegr.: **Hyazinthenhuck.**

Kasetki z przeszło 150 monetami i medalami także z wielu polskiemi ma za 350 mk. na sprzedaż **Józef Loewensohn,** 417 jubiler w Inowrocławiu.

Pożyczki na hipoteki
na grunta wiejskie i miejskie natychmiast i później. Warunki jak najkorzystniejsze. Prospekt do dyspozycyi.
Allgemeine 90
Verkehrs-Anstalt,
Berlin S. W. 12,
Zimmerstrasse Nr. 87.

Tapety
w najnowszych pięknych deseniach poleca od najpojedyńcz. do najwykwintniejszych tapet salonowych 190
Elbląski interes wysyłkowy tapet
C. Quintern, Elbląg (Elbing).

Korzystne kupno.
Księgarnia, skład papieru i galanterya, oraz skład dewocyonali w Prusach Zachodnich jest od zaraz do sprzedania.
Zgłoszenia uprasza do Ekspedycyi „Pracy" przesłać pod lit. **P.** num. **402.** 402

Centralna Drogerya J. Czepczyński

Hurtownie i detalicznie. Telefon Nr. 238.

I. skład: Poznań, Stary Rynek Nr. 8.
II. skład: Inowrocław, ulica Fryderykowska Nr. 1.

poleca po znanych tanich cenach w doborowych gatunkach:

Oliwę do maszyn,
Tłuszcz Tevota,
Tłuszcz przeciw spadaniu pasów,
Dwusiarczyk wapna,
Sodę angielską i kalcynowaną,
Konopie do maszyn,
Szczotki i pendzle do gorzelni,
Tran, łój i wszelkie smarowidła na skóry,
Petroleum amerykańskie.

Farby, pokosty, lakiery krajowe i angielskie.
Linie malarskie,
Szablony w wielkim wyborze,
Pendzle i szczotki malarskie,
Kleje, Szelak,
Okowitę do politury,
Olej do ślifowania,
Kit do okien. 117

Zamówienia po nad 10 marek wysełam franco pocztą lub też koleją odwrotnie.

Specyalność: Farby i lakiery na posadzki.

Mydła i artykuły do prania i oświetlania.

CYGARO

w cenie hurtownej 15—25% taniej jak detalicznie, polecam jako bardzo ulubione, wybornego smaku następujące gatunki:

Intelecto	za 100	sztuk	2,50 m.
Alma	„ 100	„	2,75 „
La Plata	„ 100	„	3,00 „
Fides	„ 100	„	3,30 „
Quodlibet	„ 100	„	3,50 „
Carino	„ 100	„	4,00 „
Birma	„ 100	„	4,50 „
Berolina	„ 100	„	5,00 „
Lopez	„ 100	„	6,00 „
Carmen	„ 100	„	7,00 „
La Rosedor	100	„	8,00 „
La Espanola	100	„	10,00 „

Oprócz powyższych polecam mój wielki zapas dobrze odleżałych cygar, zwłaszcza tańszych dla sprzedających z drugiej ręki. Przy odbiorze 300 sztuk wysyłam franco. Papierosy, tytunie tureckie i rosyjskie oraz gilzy w wielkim wyborze poleca 75

T. Łaganowski, Poznań,
Chwaliszewo nr. 2.

Zakład ogrodniczy J. Witkowskiego

w Starem Łąkie p. Rothenburg a. Obra (Rostarzewo)

poleca

flance (wysadki) truskawek w najlepszych i największych odmianach,

gatunki pewne, przez siebie wypróbowane, n. p. Laxton's Nobel, König von Sachsen, Kaiser Semling, Kaiser Wilhelm, Adam Koch, Sharples, Competitor, Scartel Quen, Royal Souvereigen, Bromswunder, te gatunki dostać można **100 sztuk za 1 mk.** Inne gatunki, n. p. Walluf, Latest of All, Comet, Alexander von Humboldt, Königliche Hochheit, White pine Apple, Hohenzollern, Helgoland, Teutonia, Kaiser Nicolaus von Russland, Weisse Ananas, Leader, Grosse Lombarde, Monarch, Rubicunda i wiele innych **za 100 sztuk 2 mk.** Powtarzające, które rodzą aż do mrozu, n. p. św. Józefa, Louis Gauthier, Oregon, La Constance i t. d. **100 sztuk po 4 mk.** 403

Jagody (poziomki) w najlepszych odmianach

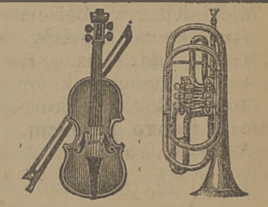
n. p. Ruhm von Döbeltiz, Ruhm von Weding, Schöne Wienerin, Schöne Anhaltinerin, Bussés czerwon bez wąsów. Gaillon rouge także bez wąsów, **100 sztuk po 1,50 mk.** Wszystkich niepodobna wymieniać, gdyż posiadam 65 gatunków od najwcześniejszych do najpóźniejszych,

nie potrzeba więc szukać u obcych, kiedy można dostać u swoich i taniej.

Dla Narzeczonych!!

Bardzo wiele pieniędzy zaoszczędza każdy, kto — kupując ślubne pierścionki, zegarek, lub biżuteryą żąda mego katalogu. 297

J. Strzelecki, Mogilno,
(filia w Inowrocławiu).



Edmund Paulus
Markneukirchen Nr. 206.

Rzetelne źródło zakupna wszystkich instrumentów dętych i smyczkowych harmonik ustnych i ręcznych tylko w dobrem wykonaniu i po cenach najtańszych pod gwarancyą.
Cenniki franko. 3-8

Zakład wodoleczniczy i kąpielowy

w ogrodzie Lamberta ul. Rycerska 15.

Wszelkie procedury wodolecznicze.
Kąpiele ruskie i rzymskie. 395

Kąpiele elektryczne.

Kąpiele z kwasem węglowym i wszelkiemi dodatkami leczniczemi.

Chcąc się w przyszłości poświęcić wyłącznie instalacyi elektrycznej, **wyprzedaję** od 1-go lipca wszelkie **towary** wchodzące w zakres **optyki, mechaniki i kołownictwa** po każdej możliwej cenie. W danym razie gotów jestem **sprzedać od razu** rzeczone wydziały przedsiębiorstwa mego dające utrzymanie dostateczne dla rodziny.

F. BISKUPSKI, Poznań, Berlińska ul. 11.
Firma fundowana 1880 roku.

Kawaler, 28 lat, mający otwarty dobrze prosperujący interes, szuka na tej drodze 412

towarzyszki życia.

Dama, która pragnie spędzić życie błogie, zechce ofertę złożyć z podaniem stosunków majątkowych i fotografią pod lit. **D. 50** do ekspedycyi „Pracy“.
Dyskrecya zapewniona.

Pierwsza poznańska



fabryka kołowców „Felix“

Warsztat reparacyjny kołowców, 401
samochodów, zakład mechaniki i elektrotechniki.

Gumienny, Poznań, Rycerska 2.

Młody kawaler, kupiec, Polak na Slązku, mający zamiar kupna wiele zapowiadającego kawału gruntu z oberżą w centrum przemysłowem, poszukuje na tej drodze

towarzyszki życia

Polki, z majątkiem 25,000 mk. Rodzice i opiekunowie, dbający o los swych drogich, zechcą łaskawe oferty złożyć pod **„Ślązak“ nr. 421** w ekspedycyi „Pracy“.



Najlepszy środek na włosy! Javol nadaje włosom zupełną piękność, czyni je miękkiemi jak jedwab, nadzwyczaj bujnemi i falistemi. 806

Wskutek swoich szczególnych przymiotów utrzymuje naturalny kolor włosów do sędziwego wieku i zapobiega siwiżnie.

Cena flaszki 2 mk.

Do nabycia we wszystkich pierwszorzędnych parfumeryach, drogeryach, także w wielu aptekach

Do nabycia w Koźminie: w aptece p. Balcerka i w drogeryi I. F. Grochowski Nast.

W wagonie.

— Panie, to moje miejsce. Zatrzymałem je dla siebie, wychodząc przed chwilą z wagonu.

— Tu niema znaku, żeś pan to miejsce zatrzymał.

— Patrz pan, na półce jest moja walizka.

— To siadaj pan na półce, skoroś sobie tam miejsce zatrzymał.

Słuszne zmartwienie.

— Dostałeś taki ładny posag i smucisz się?

— Ba! kiedy do posagu dodali mi żonę.

Romans w listach.

Kawaler do panny.

Panno Julio! Wrodzona nieśmiałość mrozi mi najgorętsze słowa na ustach: pozwól pani przeto, że papier ten będzie pośrednikiem między nami. Kocham i błagam zostań moją żoną.
Edward.

Panna do mamy.

Mamo! Załączam list pana Edwarda; oświadczył się. Co mama na to? Mojem zdaniem iść... Czego i na co czekać. Mówią, że ma około pięciu tysięcy rocznie.
Julia.

Mama do Icka.

Łaskawy panie Icku! Mam nadzieję, że chcesz pan pożyczyć mi na krótki termin, trzy tysiące. Wydaję córkę za mąż, za bardzo zamożnego człowieka p. Edwarda, mówią, że ma z górą 100 tysięcy rocznie więc ewikcya pewna.
Izabela.

Kawaler do Icka.

Luby Icusiu! Nareszcie ujrzysz cekiny... Sprzedałem swoją wolność, żenię się z pannicą nic szczególnego, ale matka jej niesłychanie bogata. Mówią, że ma 20,000 w papierach pani Izabella X. Tymczasem sypnij Icusiu jeszcze z 1000 cekinów na oporządzenie. Wypłata nazajutrz po ślubie.
Edward.

Icek do Mamy.

Wielmożna pani! Bardzo sobie dziwuję od pani propozycyi. Ja tego pana znam jak złego grosza, on ma dochodu stałego trzydzieści dni na miesiąc, a przypadkowo tyle co wygra w billiard. Takie transakcye ja nie lubię.
Icek.

Zdanie wdzięcznego zięcia.

— Moja teściowa jest tak skąpa, że sprzedałaby belkę ze swego oka, gdyby znalazła na nią kupca.